

STANISŁAW LEM

ANANKE

Wypchn ło go co ze snu - w ciemno . Zostawił za sob - gdzie? – czerwony, zadymiony obrys - miasta po aru? - i przeciwnika, gonitw , wywa enie skały, która była tamtym - człowiekiem? Gonił jeszcze odpływaj ce wspomnienie, ju z rezygnacj , i pozostała mu tylko znana dobrze z takich chwil refleksja, e w snach bywa dana rzeczywisto silniejsza i bardziej bezpo rednia od jawy.: wyzbyta słów i przy całej swojej nieobliczalnej kapry no ci rz dzona prawem objawiaj cym si jako rzeczywisto , ale tylko tam, w koszmarze. Nie wiedział, gdzie jest nic nie pami tał. Wystarczyło r k podnie , aby si przekona ., ale miał ten bezwład za złe własnej pami ci i usiłował zdopinowa j do zezna . Sam siebie oszukiwał: w bezruchu, przecie chciał po konsystencji posłania rozpozna , gdzie si znajduje. W ka dym razie nie była to koja. Błysk: l dowanie; iskry na pustym, tarcza jak gdyby fałszywego, powi kszonego Ksi yca; kratery - ale w pyłowej zamieci; pr dy brudnej, rudej wichury; kwadrat kosmodromu, wie e.

Mars.

Le ał dalej, rozwa aj c ju teraz całkiem rzeczowo, czemu si zbudził. Miał zaufanie do własnego ciała; nie ockn łoby si bez adnego powodu. Prawda, e l dowanie było do kłopotliwe, a on pot nie zm czony, bo po dwóch wachtach bez chwili wypoczynku; Terman złamał r k , kiedy automat dał ci g i rzuciło go na cian . Spa z sufitu, przy przej ciu na ci g, po jedenastu latach latania - co za osioł! Trzeba b dzie odwiedzi go w szpitalu. Czy przez to...? Nie.

Zacz ł sobie teraz po kolei przypomina wypadki poprzedniego dnia, od chwili l dowania. Siedli w burzy. Atmosfery tyle co nic, ale przy dwustu sze dziesi ciu kilometrach na godzin prawie nie ustoisz - przy tym n dzym ci eniu.

Pod podeszwami adnego tarcia; id c trzeba si wkopywa butami w piasek, dopomaga sobie grz zn cymi kostkami. I ten pył z lodowatym sykiem szoruj cy po kombinezonie, wła cy w ka d fałdk , ani specjalnie czerwony, ani rudy, zwykły piasek, tyle e drobny. Zd yło go zemle przez kilka miliardów lat. Nie było tu kapitanatu, bo i normalnego portu nie było. Projekt Marsa, w drugim roku, wci jeszcze cały w prowizorkach, co zbudowali, to im zasypywało, ani hotelu, ani hoteliku - nic. Kopuły dotlenione, pod linami, ogromne, ka da jak dziesi hangarów, pod promienistym parasolem stalowych lin zakotwiczonych do kłoców betonowych, mało co widocznych spod wydm. Baraki, falista blacha, stosy i stosy pak, kontenerów, pojemników, butli, skrzy , worów, miasto z ładunków, które waliły si z pasów transportera. Jedyne całkiem przyzwoite miejsce, dopi te, uporz dkowane, to był stoj cy poza „kloszem” budynek kontroli lotów, dwie mile od kosmodromu, w którym wła nie le ał, po ciemku, w łó ku dy urnego

kontrolera Seyna. Usiadł i bos stop , po omacku, poszukał pantofli. Zawsze je woził ze sob ; zawsze rozbierał si do snu; je li si nie ogolił jak nale y i nie umył, nie czuł si na wysoko ci zadania. Nie pami tał, jak wygl da pokój, wi c na wszelki wypadek prostował si ostro nie; łeb mo na sobie rozbi przy tej oszcz dno ci materiałów (cały projekt trzeszczał od owych oszcz dno ci; wiedział co o tym). Teraz znów gniewało go to, e zapomniał, gdzie s wył czniki. Jak lepy szczur. . . Macał r kami - zamiast kontaktu dotkn ł zimnego pokr tła. Poci gn ł. Strzeliło lekko i ze słabym zgrzytem otwarła si irysowa okiennica. Był ci ki, zamulony, głuchy przed wit. Stoj c przed oknem, podobnym raczej do okr towego bulaja, dotkn ł szczeciny na policzku, skrzywił si i westchn ł; wszystko było nie tak, chocia nie wiadomo wła ciwie - dlaczego. Zreszt gdyby si zastanowił, mo e i przyznałby, e wie. Nie znosił Marsa.

Była to sprawa ci le prywatna; nikt o tym nie wiedział, ale te nikogo to nie obchodziło. Mars - to było uosobienie straconych złudze , wyszydzonych, wy mianych - ale drogich. Wolałby lata na ka dej innej trasie. Pisanin o romantyzmie Projektu miał za zawracanie głowy. Perspektywy kolonizacji - za fikcj . O, Mars oszukał wszystkich - wi cej : oszukiwał od stu kilkudziesi ciu lat. Kanały. Jedna z najpi kniejszych, najbardziej niesamowitych przygód całej astronomii. Planeta rdzawa: pustynna. Białe czapki polarnych niegów: ostatnie rezerwy wody. Jak brylantem w szkle zarysowana siatka czystej geometrii - od biegunów ku równikowi: wiadectwo walki rozumu z zagład , pot ny system irygacyjny, nawadniaj cy miliony hektarów pustyni; ale tak: z nadej ciem wiosny zmieniła si przecie barwa pusty , ciemniały od wegetacji przebudzonej, i to we wła ciwy sposób: od równika ku biegunowi. Co za bzdura! Kanałów nie było nawet ladu. Ro linno ? Tajemnicze mchy, porosty, opancerzone przeciw mrozom, wichurom? Spolimeryzowane wy sze tlenki w gła, co pokrywały grunt - i ulatniały si , gdy mróz koszmarny zamieniał si na mróz tylko okropny. Czapy niegowe? Zwykły zestalony CO2. Ani wody, ani tlenu, ani ycia - poszarpane kraterzy, prze arte zamieciami pyłowymi skały- wiadki, nudne równiny, martwy, płaski, bury krajobraz z bladym, szarordzawym niebem. Ani obłoków, ani chmurniewyra ne mgły, tyle zachmurzenia, co podczas wielkich burz.

Elektryczno ci atmosferycznej za to - do diabła i troch . Czy co grało? Sygnał jaki ? Nie, to donosiło si pianie powietrza na stalowych linach najbli szego „bombla”. W brudnawym wietle (nawet najtwardszemu szkłu okiennemu szybko dawał rad piach niesiony wiatrem, a ju plastikowe kopuły mieszkalne zm tniały jak zawleczone bielmem) wł czył arówk nad umywalni i zacz ł si goli . Wykrzywiaj c si , pomy lał zdanie tak głupie, e si mimo woli u miechn ł: Mars jest wini .

Było to jednak wi stwo: przy tylu nadziejach - tak zawie ! Zgodnie z tradycj - ale kto wła ciwie j ustanowił?

Nikt w pojedynk . Nikt sam tego nie wymy lił; koncepcja ta nie miała tak samo twórców, jak nie maj znanych autorów wierzenia i legendy - wi c ze zbiorowych chyba roje (astronomów? mity astronomii obserwacyjnej?) wyrosła taka wizja: biała Wenus, gwiazda poranna i wieczorna, tajemniczo zaci gni ta masywem chmur - to planeta młoda, w d unglach cała i jaszczurach, i wulkanicznych oceanach, jednym słowem: to przeszło Ziemi. A Mars - wysychaj cy, zardzewiały, pełen piaszczystych burz i zagadek (kanały potrafiły si nieraz rozdwaja w przebiegu, stawały si bli niacze przez jedn noc! ilu pilnych astronomów to po wiadczyło!), Mars heroicznie walcz cy swoj cywilizacj ze zmierzchem ycia - to była przyszło Ziemi; proste, jasne, wyra ne, zrozumiałe. Tyle, e nieprawdziwe od A do Z.

Pod uchem były trzy włoski, których nie chciał wzi aparat elektryczny; brzytwa została jednak na statku, wi c zacz ł si do nich przymierza tak i owak. Nie szło. Mars. Ci astronomie- obserwatorzy byli to jednak ludzie o bujnej fantazji. Schiaparelli chocia by. Niestychane nazwy, jakimi ochrzcił; razem ze swym najwi kszym wrogiem, Antoniadam, to, czego n i e w i d z i a ł, co mu si tylko zdawało. Chocia by okolic , w której budował si tu Projekt: Agathodaemon, Demon, wiadomo. Agatho od agatu chyba, e czarny?

Czy agathon - m dro ? Astronautów nie ucz greki - szkoda. Miał słabo do starych podr czników astronomii gwiazdnej i planetarnej. Ta ich wzruszaj ca pewno siebie: w I 9 I ; roku głośiły, e Ziemia jest, z kosmicznej przestrzeni, czerwona, poniewa atmosfera pochłania bł kitn cz widma, wi c, rozumie si , to, co pozostaje, musi by co najmniej ró owe. Kul w płot! A jednak, kiedy si ogl dało te wspaniałe mapy Schiaparellego, wprost nie chciało si pomie ci w głowie, e widział nie istniej ce. Co najdziwniejsze, inni, po nim, te to widzieli. Był tojaki psychologiczny fenomen, któremu pó niej nie po wi cano ju uwagi. Najpierw cztery pi te ka dego dzieła o Marsie wypełniała topografia i topologia kanałów - to znalazł si w drugiej połowie XX wieku astronom, który poddał ich sie statystycznej analizie i wykrył jej podobie stwo, wła nie topologiczne, do sieci kolejowej, wi c komunikacyjnej - w odró nieniu od przebiegu naturalnych p kni czy rzek - a potem, jakby kto czar zdmuchn ł, jednym zdaniem kwitowano rzecz: złudzenie optyczne - i kropka.

Oczy cił maszynk pod oknem i chowaj c j do futerału, raz jeszcze spojrział, ju z nie ukrywam niech ci , na ten cały Agathodaemon, na ów zagadkowy „ kanał”, który był nudnym płaskim terenem z nielicznymi rumowiskami w zamglonym horyzoncie. W porównaniu z Marsem Ksi yc był po prostu przytulny. Zapewne, komu kto si na krok z Ziemi nie ruszył, brzmiałoby to dziko, lecz przecie wi ta prawda. Najpierw - Sło ce jest stamt d akurat takie samo jak z Ziemi, a e to wa ne, o tym wie ka dy, kto nie tyle si zdziwił, ile wprost przel kł, ujrzawszy je w postaci skurzonego, zwi dłego, zimnawego ognika. A ju majestatyczna, bł kitna Ziemia, jak lampa,

symbol bezpiecznego pobli a, znak domu, rozja niaj ca tak dobrze noce - podczas kiedy Fobos z Dejmosem nie dawały nawet tyle wiatła, ile Ksi ycy w pierwszej kwadrze. No i cisza. Wysoka pró nia, spokojna, to nie był przypadek, e łatwiej przychodziło nadawa telewizyjne l dowanie, pierwszy krok projektu Apollo, podczas kiedy o analogicznym widowisku, ot, powiedzmy, ze szczytu Himalajów, nie było nawet mowy. O tym, czym jest dla człowieka wiatr, który nigdy nie ustaje, mo na si bez reszty przekona dopiero na Marsie.

Spojrzał na zegarek: był to zupełnie nowy nabytek, z pi cioma koncentrycznymi cyferblatami, podawał standardowy czas ziemski, czas pokładowy i czas planetarny. Była szósta z minutami.

Jutro o tej porze b d cztery miliony kilometrów st d pomy lań nie bez satysfakcji. Nale ał do „klubu przewo ników”, ywicieli Projektu, ale godziny jego słu by były policzone, bo na lini Aresterra wprowadzono ju te nowe olbrzymie jednostki z mas spoczynkow rz du 100000 ton. „Ariel”, „Ares”, „Anabis” le ały na kursie Marsa od paru tygodni; „Ariel” miał l dowa za dwie godziny. Nigdy jeszcze nie widział l dowania stutysi cznika, bo na Ziemi siada nie mogły; ładowano je na Ksi ycu, ekonomi ci obliczyli, e si to opłaci.

Takie jednostki jak jego „Cuivier”, z tymi kilkunastoma tyśami ton, miały definitywnie zej ze sceny. Ot, jak drobnic b dzie si jeszcze czasem nimi przerzucało.

Była szósta dwadzie cia i rosz dny człowiek zjadłby o tej porze co gor cego. My l o kawie te była zach caji ca. Ale gdzie si tu mo na po ywi - nie wiedział. W Agathodaemonie był po raz pierwszy. Dot d obsługiwał główny przyczółek - syrtyjski. Dlaczego zaatakowano Marsa w dwóch punktach naraz, odległych od siebie o kilkana cie tyśi cy mil?

Znał uczone racje, ale my lań swoje. Zreszt nie obnosił si z tym krytycyzmem. Wielka Syria miała by termoj drowym oraz intelektualnym poligonem. Wygl dało tam zupełnie inaczej. Niektórzy mówili, e Agathodaemon jest Kopciuszkiem Projektu i e ju kilkakrotnie groziło mu zwini cie.

Wci jednak liczyli jeszcze na t jak zamarzał wod , na te gł bokie lodowce z zamierzchłych epok, które wła nie tu miały tkwi , gdzie pod zapiękłym gruntem - pewno, e je liby si Projekt dokopał miejscowej wody, byłoby to istnym triumfem, zwa ywszy, e na razie ka d kropl woziło si z Ziemi, a urz dzenia wychwytuj ce par wodn z atmosfery budowa' no i budowano drugi rok, chwila za rozruchu wci si oddalała.

Nie, stanowczo Mars nie miał dla adnych powabów.

Nie chciało mu si wyj jeszcze - w budynku było tak ; cicho, jakby wszyscy gdzie poszli czy pomarli. A nie chciało mu si wyj głównie przez to, e przywykał coraz bardziej do samotno ci - dowódca mo e by na pokładzie zawsze samotny, je li chce - i słu yła mu dobrze: po

dłu szej podró y - leciało si teraz, po opozycji, przeszło trzy miesi ce musiał u y pewnego wysiłku, eby wej tak od razu i po prostu w tłum obcych ludzi. A nie znał tu nikogo oprócz dy urnego kontrolera. Mógł pój do niego na pi tro, lecz byłoby to w nie najlepszym gu cie. Nie nale y zawraca głowy . ludziom przy pracy. S dził podług siebie: nie lubił takich go ci.

W przegródce nesesera był termos z resztk kawy i paczka keksów. Jadł, staraj c si nie kruszy , pił i patrzył przez porysowan piaskiem okr gł szyb w stare, płaskie i jał gdy; by miertelnie zm czone dno tego Agathodeamona. Mars robił na nim takie wła nie wra enie: e ju mu wszystko jedno; i dlatego tak dziwnie były nagromadzone krater y, inne od ksi ycowych, niby rozmyte („jakby sfalszowane” - wyrwało mu si raz przy ogl daniu du ych, dobrych zdj), i tak bezsensowne te okolice dzikie o urze bienia zwane „chaosami, miejsca ukochane przez areologów, bo niczego podobnego do tych formacji na Ziemi nie było. Mars był jakby zrezygnowany, nie dbał ani o dotrzymanie słowa, ani nawet o pozory. Gdy si ku niemu zbli ało, zaczynał traci swój solidny, czerwony wygl d, przestawał by emblematem boga wojny, powlekał si niewyra n buro ci , plamami, zaciekami, adnego wyrazistego rysunku, jak na Ksi ycu czy Ziemi, rozmaz, szarawa rdza i wieczny wiatr.

Pod stopami czuł najdelikatniejsze w wiecie dr enie przetwornik albo transformator. Zreszt dalej panowała cisza, w któr jakby z innego wiata wnikał kiedy niekiedy odległy skowyt wichury na linach mieszkalnego klosza. Piekielny piasek dawał z czasem rad nawet dwucalówkom z wysokogatunkowej stali. Na Ksi ycu mo na zostawi ka d rzecz, poło y na kamieniu i wróci po stu latach, po milionie, ze spokojn wiedz , e le y nie tkni ta. Na Marsie nie mo na niczego upu ci z r ki - wsi kłoby na amen. To nie była uczciwa planeta.

O szóstej czterdzie ci brzeg horyzontu zaczerwienił si , wschodziło Sło ce, i ta plama jasno ci (adnej zorzy, sk d) zniecka - barw - przypominała mu sen. Pełen zdziwienia, powoli odstawił termos. Przypominał sobie, o co tam szło.

Kto chciał go zabi - ale to on zabił tamtego. Umarły gonił go przez czerwono roz wietlon ciemno ; zabijał go jeszcze kilka razy, ale to nic nie pomagało. Idiotyczne, zapewne, ale było tam co jeszcze: był niemal pewny, e we nie znał tego człowieka, a teraz nie miał poj cia, z kim walczył tak rozpaczliwie. Oczywi cie, poczucie znajomo ci te mogło by złudzeniem snu. Próbował tego doj , ale znów samowolna pami milkła, wszystko na powrót chowało si milczkiem jak limak do skorupy, i stał tak, przy oknie, z r k na stalowej framudze, troch poruszony, jakby poszło o nie wiedzie co. mier . Było jasne, e w miar rozrostu kosmonautyki ludzie zaczn umiera na planetach. Ksi yc okazał si lojalny wobec zmarłych. Pozwala skamienie , obraca w lodowy pos g, w mumi , której lekko , prawie niewa ko odrealniaj i ujmuje jakby wagi katastrofie. Natomiast na Marsie trzeba o nich dba , niezwłocznie,

bo piaszczyste wichry przetrącały skafander w ciągu paru dni, i nim wysoka susza zmumifikuje szczątki, wyrzuci z rozdartej tkaniny kości, polerowane, szlifowane z zapami taniem, a obnaży si szkielet, który, rozsypany, w tym obcym piasku, pod tym brudnym, obcym niebem, jest niemal wyrzutem sumienia, prawie zniewagą jakby przywołał tutaj raketami, razem z życiem, miertelno, ludzie robili co niewłaściwego, co, czego należało się wstydzić, co trzeba ukryć, zabrać gdzieś, pochować; wszystko bez sensu, rozumie się -- ale tak w tej chwili czułem.

O siódmej była zmiana na stanowiskach kontroli lotu; a podczas zmiany wypadła już i obcemu przyjeźdźcy. Pochował swoje rzeczy do nesesera, nie było ich wiele, i wyszedł pamiętając o tym. Należało się upewnić, czy rozładunek „Cuiviera” idzie planowo. Do południa miał już, zbył całą swoją drobnicę, a było tam parę rzeczy wartych sprawdzenia. Na przykład chłodzenie osady pomocniczej o reaktora. Zwłaszcza należało się wrócić z uszczuplonym zaopasowaniem. O tym, aby mógł dostać tu kości w zamian za Termana, nie było mowy. Po krótkich schodach, wyłożonych pianoplastykiem, z ręką na dziwnie ciepłej, jakby ogrzewanej porcelanie, dostał się na piętro, i wszystko od razu zmieniło się całkowicie; jakby on też stał się kimś innym otwierając szerokie wahadłowe drzwi o matowych szybach.

Było to jakby wnętrze wielkiej łowy. sześcioma ciorgiem wypukłych, ogromnych, szklanych oczu, wklęsłych w trzy strony świata. Tylko w trzy, bo za czwartą stroną znajdowały się anteny, a cała ta salka mogła kręcić się na osi niczym obrotowa scena. Była też w niej jakimś sensie scena, na której odgrywano wciąż podobne sztuki startów i lądowań. Widocznych jak na dłoni, bo z odległości kilometra, zza kolistych, szerokich pulpity, stanowisk jakby jednolite, za srebrzystoszarymi ścianami. Było tu trochę jak w kontrolnej wieży lotniska, a; trochę jak na sali operacyjnej: przy lepszym oświetleniu masywny 160 STANISŁAW LEM pod skośnym kątem kapturem główny komputer bezpośrednio łączony ze statkami, który zawsze mrugał i cykał, prowadził swoje milczące monologi i wypluwał kawałki dziurkowanych taśm; były tu trzy rezerwowe stanowiska kontroli z mikrofonami, lampami punktowymi, fotelami na kulkowych przegubach, i, podobne do bulwiastych hydrantów ulicznych, podręczne automaty liczące kontrolerów; był tu wreszcie, pod ścianą, mały, ale jak lalka zgrabny barek z cichutko szumującym ekspresem. W końcu tu znajdowało się kawowe ródełko! Swego „Cuiviera” nie mógł się do Pira zobaczyć; postawił go, jak mu przykazała kontrola, trzy mile dalej, poza wszystkimi betonami, bo tak się tutaj przygotowywano na przyjęcie pierwszej najcięższej jednostki Projektu, jakby nie była wyposażona w najnowsze astrolokacyjne i kosmonautyczne automatyki, które, jak chętni byli konstruktorzy ze stoczni (znał prawie wszystkich), mogły posadzić ten wielomilowy ogrom, ten elaznógór, na powierzchni wielkości ogródka działkowego.

Wszyscy pracownicy portu, z trzech zmian, przyszedli na to uroczystość, która zresztą oficjalnie uroczystością nie była; „Ariel”, podobnie jak inne jednostki prototypowe, miał w sobie dziesięć próbnych lotów i dowodzący nimi; co prawda, nigdy jeszcze nie wchodził z pełnym obciążeniem w atmosferę. Do dowodzenia pozostało niespełna pół godziny, więc Pirx przywitał się z tymi, co nie mieli słuchać, a potem i Seynowi uciąknął. Odbiorniki pracowały już, na ekranach telewizyjnych chodziły rozmazane smugi z góry na dół, ale wiatelka pulpitu zbliżenia wszystkie jeszcze jaśniały niepokalanie zieloną barwą, a zostało mnóstwo czasu i nic się nie dzieje. Romani, kierownik bazy Agathodaemona, zaproponował mu do kawy kieliszek koniaku, Pirx zawahał się, ale w końcu był przecie osobą całkiem prywatną - chociaż nieprzywykły do tak ранego używania trunków - pojmował, że chodzi im o symboliczne uświetnienie chwili; czekano jednak od miesięcy na te najcenniejsze jednostki, miały zdjąć z ANAnKE 161 głowy kierownictwu bezustannie kłopoty, bo dotychczas toczył się wyścig między pracownicami budowy, której nie mogła zaspokoić flotyła Projektu, a wysiłkami przewoźników, takich jak Pirx, aby obracać na trasie Mars - Ziemia tak sprawnie i szybko, jak się tylko dało. Teraz, po opozycji, obie planety zaczynały się rozchodzić, odległość dzieląca je miała już przez całe lata rosnąć, aby dojść do przeraźliwego maksimum setek milionów kilometrów; i właśnie w tym najgorszym dla Projektu okresie przybywało potrzebne wsparcie.

Wszyscy mówili przyciszonymi głosami, a kiedy zielone zgasła i odezwały się brzęczyki, nastąpiła zupełna cisza. Dzień wstawał typowo marsjański, ani chmurny, ani czysty, bez wyraźnego horyzontu, bez wyraźnego nieba, jak gdyby bez dającego się odczytać rachunek czasu. Mimo dnia obrzeża kwadratów betonowych, leżące płasko w centrum Agathodaemona, obwiodły pałające linie, zapaliły się tam automatycznie laserowe oznakowania, a krawędzie centralnej okrągłej tarczy z prawie czarnego betonu wyznaczały błyszczące gwiazdziste jody. Kontrolerzy poprawili się w fotelach, zresztą i tak roboty mieli tyle co nic; za to główny komputer rozjaśnił swoje tarcze, jakby objawiał wszem wobec swoje nadzwyczajne możliwości, przekazywał zaczął gdzieś cichutko stuknąć i z głębi doszedł ich wyraźny głos: - Halo tam, Agathodaemon, tu „Ariel”, mówi Klyne, jesteście my na optycznej, wysoko sześć set, za dwadzieścia sekund przełączymy się na automaty do zejścia, odbiór.

- Agathodaemon do „Ariela”! - rzekł skwapliwie Seyn; mały, z dziobatym profilkiem u szczytu mikrofonu, doduszał szybko papierosa - mamy was na wszystkich ekranach, na jakich możecie być, kładcie się i schodźcie ładnie na dół, odbiór!

artykuł tu sobie - pomyślał Pirx, który tego nie lubił, może był przez dny - no, widają procedury w małym palcu.

I I Opowie o pilocie Pirxie t. II 162. S TANISŁAW LEM - „Ariel” do Agathodaemona: mamy trzysta, wł czamy automaty, schodzimy bez bocznego dryfu, zero na zero, jaka siła wiatru? - odbiór.

- Agathodaemon do „Ariela” : wiatr 180/h, północnopółnocno-zachodni, nic wam nie zrobi, odbiór.

- „Ariel” do wszystkich: schodz na osi rufowo, automaty przejęły stery, koniec.

Zapadła cisza, tylko przeka niki co tam drobiły po swojemu, a na ekranach ukazał się już wyraźnie biały płonący punkt, rosnący szybko, jakby ktoś wydymał bałkę ognistego szkła. Była to zięćca rufa statku, który schodził w samej rzeczy jak zawieszony na niewidzialnym pionie, bez najmniejszych drganień, bocznych przechyłów, bez ładunku zawirowania - Pirxowi przyjemnie było na to patrzeć. Oceniał odległość na jakieś sto kilometrów; przed pięćdziesiątka nie było sensu zaglądać w niebo przez okna, mimo to zgrupowało się już przy nich sporo obecnych z zadartymi w zenit głowami.

Kontrola miała ci głębię czno radiofonicznie ze statkiem, ale po prostu nie było o czym mówić; załoga leżała w komplecie na antygravitacyjnych fotelach, wszystko robiły automaty pod dyktando głównego komputera raketowego, i to on właśnie zdecydował o zmianie cięgu atomowego na borowodorowy - przy sześćdziesięciu kilometrach wysokości, a więc na samej granicy rzadkiej atmosfery. Teraz Pirx podszedł do sterowego, najwęższego okna i natychmiast zobaczył w niebie, przez jego bladoszarzą mgiełkę, ostrozielony ogień, mikroskopijny, ale wibrujący niezwykle blaskiem - jak gdyby ktoś nawiercał z wysokości nieboskłon Marsa płonącym szmaragdem. Od tego równomiernie palącego punktu szły w różne strony blade smugi, były to jakieś wiechetki i strzępy chmur, a raczej tych niedonosków, które w tutejszej atmosferze pełniły zastępczo ich obowiązki. Schwytane w orbitę okrętowego odrzutu, zapalały się i rozpadały jak sztuczne ANARRKE 163 ognie. Statek rósł, a właśnie wtedy tylko rosła jego okrągła rufa. Powietrze najwyraźniej drgało pod nim odparami i przez to mogło się niedowiadczonemu zdawać, że i sama rakietka trochę chodzi na boki, ale Pirx znał ten obraz zbyt dobrze, by się omylić. Jako tak bez żadnego napięcia, w spokoju szło wszystko, przypomniał sobie pierwszy krok ludzki na Księżycu, tam też poszło, jak po małym. Rufa była już zieloną palącą się tarczą z aureolą rozbryzgów. Zerknął na główny altimetr nad pulpitemi kontroli, bo przy tak dużej jednostce mojej łatwo było omylić w szacunku wysokość; jedna cię, nie, dwanaście kilometrów dzieliło „Ariela” od Marsa - oczywiście opadał coraz wolniej dzięki rosnącemu cięgowi hamowania.

Nagle stało się kilka rzeczy naraz.

Obraz sztucznych dysz „Ariela”, w koronie zielonych płomieni, zadrgał inaczej niż dotychczas. W głębi rozległ się jakiś niezrozumiały bełkot, okrzyk, coś jakby „ruchna!”, a może „raczej!” -

jedno niepoj te słowo wykrzyczane ludzkim głosem, tak odmiennym, e chyba nie był to Klyne. Ziele buchaj ca z rufy „Ariela” nagle zbladła. Był to ułamek sekundy.

W nast pnym mgnieniu rozkrzaczyła si straszliwym, bł kitnobiałym błyskiem - i Pirx zrozumiał od razu, w dreszczu osłupienia, który przeszył go od stóp do głów, tak e głuchy, ogromny głos, co wyrwał si z gło nika, nie zaskoczył go wcale.

„Ariel” - sapni cie. - Zmiana procedury.

Od meteorytu. Cał naprzód na osi! Uwaga! Cały ci g!

Był to automat. W tle tego głosu kto jakby krzyczał. W ka dym razie Pirx prawidłowo zinterpretował zmian barwy ognia wylotowego : borowodory zast pił pełny ci g reaktorów i olbrzymi statek, zahamowany jakby straszliwym uderzeniem niewidzialnej pi ci, dygoc c wszystkimi spojeniami, zatrzy164 STANISŁAW LEM mał si - a przynajmniej tak to patrz cym wygl dało - w rozrzedzonym powietrzu, tych pi czy cztery ledwo kilometry nad tarcz kosmodromu. Chodziło o manewr niesamowity - zakazany przez wszystkie reguły, postanowienia, wykraczaj cy poza cał kosmolocj : eby powstrzyma stutysi czn mas - bo wszak trzeba było chy o jej spadania wygasi pierwej, nim mogła na powrót wystrzeli wzwy . Pirx zobaczył w perspektywicznym skrócie bok olbrzymiego cylindra. Rakieta straciła pion. Przechylała si . Zacz ła, niezwykle powoli, prostowa si , ale wychyliło j w drug stron jak gigantyczne wahadło; ponowny przechył wier milowego kadłuba w przeciwn stron był ju wi ksy. Przy tak małej szybko ci utrata równowagi była w tej amplitudzie nie do opanowania; dopiero w owych sekundach doszedł Pirxa krzyk głównego kontrolera: - „Ariel”, „Ariel”! Co robicie?! Co si u was dzieje?!

Jak wiele rzeczy mogło zaj w cz stkach sekund!

Pirx, przy równoległym, nie obsadzonym pulpicie, krzyczał cał piersi w mikrofon: - Klyne! Na r czn !!! Na r czn do l dowania!!! Na r czn !!!.

Wtedy nakrył ich nadchodz cy przeci gły nieustanny grom.

Dopiero teraz dobiegła ich fala d wi kowa! Jak krótko musiało wszystko trwa ! Stoj cy u okien krzykn li jednym głosem. Kontrolerzy oderwali si od pulpitów.

„Ariel” spadał mły cem jak kamie , lepo wal c w atmosfer smugami zataczaj cego si ognia ruf; kr cił si powoli, bezwładny na podobie stwo trupa, jak gdyby kto olbrzymi elazn wie cism ł z nieba ku brudnym wydmom pustyni.

Wszyscy stali jak wryci, w głuchej, straszliwej ciszy, bo ju nic nie mo na było robi ; gło nik niewyra nie chrypiał, bormotał odległ wrzaw , czy hukiem morza, nie wiadomo było, czy to ludzkie głosy, wszystko si tam zlewało w jeden chaos; ANANKE I 6S a biały, jakby sk pany w

blaskach, niesamowicie długi cylinder gnał coraz szybciej w dół; wydawało się, że trafi w sam kontroler; kto przy Pirxie jak kni. Skurczyli się odruchowo.

Kadłub wyrzucił skośm w jedno z niskich obmurowanych poza tarcz, złamał się na dwoje i z jak dziwnym powolnością dalej, że buchnęło szczękami na wszystkie strony, zarył się w piach; w okamgnieniu powstała tam na dziesięćpieter wysoka chmura, w której zagrzmiało, zagruchotało, trysnęło ognistymi szwami, ponad zgrzywioną zasłonę wyrzuconego piasku wychynęło lepiając biały wciśnięty dziób statku, oderwał się od reszty, przeleciał kilkaset metrów w powietrzu, poczuli jedno, drugie, trzecie potężne uderzenie, te wstrząsy gruntu były tak mocne, jak przy trzęsieniu ziemi.

Cały budynek podniosło, poszedł w górę i opadł niczym łódka na fali. Potem w piekielnym rumorze rozłamywanego elastwa wszystko zakryła przed nimi brzoźwoczarna ciana dymu i kurzu. I to był koniec „Ariela”. Gdy biegli po schodach do komory wyjściowej, Pirx, jeden z pierwszych w kombinezonie, nie miał wątpliwości - z takiego zderzenia nikt nie mógł wyjść żywy.

Potem biegli zataczając się pod uderzeniami wichury; z daleka, od strony kłosa, pokazały się pierwsze pojazdy gąsienicowe i hovercrafty. Ale już nie trzeba się było spieszyć. Nie było do czego. Pirx sam nie wiedział, jak i kiedy wrócił do budynku kontroli - z obrazem krateru i zgniecionej kadłuba w osłupiałych oczach, tak że na dobre ocknął się dopiero, ujrzawszy w ciennym lustrze własną poszarzałą i jakby zgniatą twarz.

W południe powołano komisję rzeczoznawców do zbadania przyczyn katastrofy. Ekipy robocze koparkami i dźwigami rozłóczyły jeszcze dzwona ogromnego kadłuba, jeszcze 166 S TANISŁAW LEM nie dotarło do wrytej głęboko w grunt; zmiażdżonej sterówki, mieszczącej automaty kontroli, kiedy z Wielkiej Syrtysy przyleciała grupa specjalistów - jednym z tych dziwnych małych helikopterów o gigantycznych migłach, zdolnych do lotu jedynie w rozrzedzonym powietrzu Marsa. Pirx nie włożył nikomu w drogę i nikogo o nic nie pytał, bo aż nazbyt dobrze rozumiał, że sprawajest wyjtkowo ciemna. W toku normalnej procedury lądowania, podzielonej na uwiścone etapy i zaprogramowanej niczym rozkład jazdy niezawodnych pociągów, bez żadnej widocznej przyczyny główny komputer „Ariela” zgasił borowodorowy ciąg, wyrzucił hasła przypominające szczękowy alarm meteorytowy i przełczył na ucieczkę od planety całą moc; stateczność, utraconej podczas tego karkołomnego manewru, nie mógł już odzyskać. O czym podobnym nie wspominała historia astrologii i nasuwające się przypuszczenia - że komputer zwyczajnie zawiódł, że się w nim jakie obwody pozwierały, poprzepalały - wyglądały zgoła nieprawdopodobnie, ponieważ szło o jeden z dwóch programów - startu i lądowania - zabezpieczonych przed awariami tak licznymi zabezpieczeniami, że już raczej przychodziło myśleć o sabotażu. Głowił się nad tym w pokoju, który Seyn oddał mu poprzedniej nocy do dyspozycji,

umylnie nie wysuwaj nosa za drzwi, żeby się nie narzuca, tym bardziej nie miał przecie za kilkanaście godzin wystartować, a nic takiego nie przychodziło mu do głowy, z czym powinien by pospieszyć do komisji. Okazało się jednak, że nie zapomniano o nim; kilka minut przed pierwszym zajrzał do niego Seyn. Był z nim i Romani; czekał na korytarzu; wychodząc Pirx w pierwszej chwili nie poznał go; kierownik kompleksu Agathodaemona wydał mu się jednym z mechaników: miał na sobie osmolony, pokryty zaciekami kombinezon, twarzą jakby zmalowaną z wyczerpania, lewy kciuk ust drgał mu co chwila, ANANKE I 6% lecz głos pozostał ten sam. Poprosił Pirxa, w imieniu komisji, do której należał, by odłożył start „Cuiviera”.

- Naturalnie. . . jeśli jestem potrzebny - Pirx był zaskoczony; zbierał myśli. - Muszę tylko uzyskać zezwolenie Bazy.

- Załatwimy to sami, jeśli się pan zgadza.

Nikt już nic nie powiedział; poszli we trzech do głównego „bombła”, gdzie w długim, niskim pomieszczeniu kierownictwa siedziało dwudziestu kilku rzeczoznawców - kilku miejscowych, większość przyleciała z Wielkiej Syrty. Jako że była pora obiadowa, a szło o całą godzinę, przyniesiono im zimnego jedzenia z bufetu i tak, przy herbacie, nad talerzykami, przez co wszystko wyglądało dziwniejąco nieoficjalnie, a prawie i niepoważnie, zaczęły się obrady. Pirx oczywiście domyślał się, czemu przewodniczący, inżynier Hoyster, jego jako pierwszego poprosił o opis katastrofy. Był on jedynym ponad wszelką wątpliwość niestrannym wiadkiem, bo nie należał ani do zespołu kontroli lotów, ani do załogi Agathodaemona. Gdy Pirx doszedł w zeznaniu do swej reakcji, Hoyster przerwał mu po raz pierwszy.

- Wiąca pan chciał, żeby Klyne wyłczył całą automatykę i starał się pilotować sam, tak?

- Tak.

- A może na wiedzę, czemu?

Pirx nie zwlekał z odpowiedzią.

- Miałem to za jedyną szansę.

- Tak. A nie przypuszczał pan, że przejdzie na sterowanie ręczne może spowodować utratę stateczności?

- Już była stracona. To może naresztę sprawdzi, się przecie tak my.

- Oczywiście. Chcieliśmy najpierw stworzyć sobie obraz ogólny. A. . . jakiego jest pana osobiste zdanie?

168 STANISŁAW LEM - O przyczynie. . . ?

- Tak. Ponieważ na razie nie tyle obradujemy, co informujemy się. Cokolwiek pan powie, nie będzie szczególnie wiarygodne; cenne może okazać się tylko przypuszczenie, nawet ryzykowne.

- Rozumiem. Co się stało z komputerem. Nie wiemco, i nie wiem te , jak to mo liwe. Gdybym tam nie był sam, nie uwierzyłbym w to, ale byłem i słyszałem. To on odwrócił procedur - i dał meteorytowe ostrze enie, jakkolwiek w poronny sposób. Brzmiało to mniej wi cej jak: „meteorytyuwaga, cała na osi naprzód”. A ponieważ nie było adnych meteorytów. . . - Pirx wzruszył ramionami.

- Ten model - „Ariela” - jest udoskonalon wersj komputera AIBM 09 - zauwa ył Boulder, elektronik, którego Pirx znał, bo stykał się z nim przelotnie w Wielkiej Syrcie.

Pirx skin ł głow .

- Wiem o tym. Dlatego powiedziałem, e nie uwierzyłbym, gdybym tego nie widział na własne oczy. Ale to się stało.

- Jak pan s dzi, komandorze, czemu Klyne nic nie zrobił? - spytał Hoyster.

Pirx poczuł wewn trzny chłód i nim odpowiedział, spojrział w obie strony - na wszystkich. Pytanie takie musiało pa . Wolałby jednak nie by pierwszym, który miał mu sprosta .

- Tego nie wiem.

- Naturalnie. Ale wieloletnie do wiadzenie pozwala panu postawi się na jego miejscu. . .

- Postawiłem się . Zrobiłbym to, do czego próbowałem go skłoni .

-Aon?

- Nie było adnej odpowiedzi. Hałas, jakby krzyki. TrzetaNAN KE 169 ba b dzie bardzo dokładnie przesłucha ta my, ale obawiam się , e to da niewiele.

- Panie komandorze - rzekł cicho, ale dziwnie powoli, jakby ostro nie dobieraj c słów, Hoyster - pan orientuje się w sytuacji, nieprawda ? Dwie nast pne jednostki tej samej klasy, z takim samym układem sterowania, znajduj się obecnie na linii Aresterra; „Anabis” przyb dzie za trzy tygodnie, ale „Ares” ju za dziewi dni. Bez wzgl du na zobowi zania wobec tych, co zgin li, mamy wi ksze wobec ywych. Niew tliwie przemy lał panju w ci gu tych pi ciu godzin, wszystko, co zaszło. Nie mog pana do tego zmusi , ale prosz , eby pan to nam wyjawiał.

Pirx poczuł; e blednie. Tego, co chciał powiedzie Hoyster, domy lił się z jego pierwszych słów i ogarn ło go niezrozumiałe wra enie, rodem z nocnego snu: aura zaciekłego, rozpaczliwego milczenia, w którym walczył z przeciwnikiem bez twarzy i zabijaj c go, razem z nim gin ł. Było to mgnienie.

Przemógł się i spojrział Hoysterowi w oczy.

- Rozumiem - powiedział. - Klyne i ja nale ymy do dwóch ró nych generacji. Kiedy zaczynałem lata , zawodno procedur automatycznych była daleko wi ksza. . . To się utrwala w zachowaniu. My l , e. . . ufał im do ko ca.

- S dził, e komputer dysponuje lepszym rozeznaniem?

e opanuje sytuacj ?

- Nie musiał liczy na to, ej opanuje... a tylko e, je li nie potrafi, tym bardziej nie dokona tego człowiek.

Pirx odetchn ł. Powiedział, co my lał, nie rzucaj c cienia na młodszego - który ju nie ył.

- Czy, podług pana, istniały szanse ocalenia statku?

- Nie wiem. Było bardzo mało czasu. „Ariel” był bliski utraty szybko ci.

- Czy pan l dował kiedy w takich warunkach?

170 STANISŁAW LEM - Tak. Ale statkiem o małej masie - i na Ksi ycu. Im dłu sza i ci sza jest rakieta, tym trudniej odzyska stateczno przy utracie szybko ci, zwłaszcza gdy si zaczyna przechył.

- Czy Klyne słyszał pana?

- Nie wiem. Powinien był słysze .

- Czy przej ł stery?

Pirx otwierał ju usta, by powiedzie , e na to jest dowód w rejestrach, ale zamiast tego odparł: - Nie.

- Sk d pan to wie? - to był Romani.

- Podług kontroli. „Procedura automatyczna” wieciła si przez cały czas. Zgasła dopiero, gdy statek si rozbił.

- A czy pan nie uwa a, e Klyne nie miał ju czasu? spytał Seyn. Było co osobliwego w tym, e tak si do niego zwrócił - chocia byli na „ty”. Jakby powstał mi dzy nimi nagły dystans. Wrogo ?

- Sytuacj mo na wymodelowa matematycznie i wtedy oka e si , czy była jaka szansa - Pirx starał si o rzeczowo . - Ja tego nie mog wiedzie .

- Ale gdy przechył przekroczył 45 stopni, stateczno była nie do odzyskania - upierał si Seyn. - Czy nie tak?

- Na moim „Cuivierze” niekoniecznie. Ci g mo na powi kszy - poza dopuszczaln granic .

- Przeci enie powy ej dwudziestu kilku mo e zabi .

- Zapewne. Ale upadek z pi ciu kilometrów musi.

Na tym si ta krótka polemika zako czyła. Pod lampami, płon cymi mimo dnia, kładł si płasko dym. Palili.

- Podług pana, Klyne mógł przej stery, ale nie zrobił tego. Tak? - wrócił do swego wtku przewodnicz cy Hoyster.

- Prawdopodobnie mógł.

- Czy nie uważa pan za mało liwe, że swojej interwencji zabił go pan z tropu? - odezwał się zastępca Seyna, człowiek ANANKE I % I z Agathodaemona, którego Pirx nie znał. Tutejsi byli przeciwko niemu? I to mógł zrozumieć.

- Uważam to za mało liwe. Tym bardziej że tam, w sterowni, ludzie coś krzykali. Tak to wyglądało.

- Na panikę? - spytał Hoyster.

- Nie odpowiem na to pytanie.

- Dlaczego?

- Proszę przesłuchać ją. To nie są ciłe dane - hałas, który może na rozmaicie tłumaczyć.

- Czy kontrola naziemna mogła, podług pana opinii, coś jeszcze zrobić? - pytał z kamienną twarzą Hoyster. Wyglądało na to, że wewnątrz komisji zachodzi rozłam. Hoyster był z Wielkiej Syryi.

- Nie. Nic.

- Temu, co pan powiedział, zaprzecza pana własny postępek.

- Nie. Kontrola nie ma prawa mieszać się do decyzji dowódcy - w podobnej sytuacji. W sterowni może ona inaczej wyglądać na dole.

- Przyznaje pan więc, że pan działał wbrew przyjętym zasadom? - raz jeszcze odezwał się zastępca Seyna.

- Tak.

- Dlaczego? - pytał Hoyster.

- Zasady nie są dla mnie ważne. Robi zawsze to, co uważam za właściwe podług własnego zdania. Zdarzyło mi się już za to odpowiadać.

- Przed kim?

- Przed Trybunałem Izby Kosmicznej.

- Ale został pan oczyszczony z zarzutów oskarżenia? zauważył Boulder. Wielka Syrya - i Agathodaemon. To było prawie wyrażone.

Pirx milczał.

- Dziękuję panu.

172 STANISŁAW LEM Przesiadł się na stojące z boku krzesło, bo zeznawał z kolei Seyn, potem jego zastępca. Nim skończyli, przyniesiono pierwsze taśmy z budynku kontroli lotów. Przychodziły te telefoniczne meldunki z pracowni wraku „Ariela”. Już było pewne, że nikt nie pozostał przy życiu, ale do sterowni nie dostali się: weszła na jedną cię metrów w głąb gruntu. Przesłuchiwanie taśmy, protokolowanie zeznań trwało bez przerwy do siódmej. Potem zrobiono

godzinn przerw . Syrtyjczycy z Seynem pojechali na miejsce katastrofy. Romani w przejezie zatrzymał Pirxa.

- Komandorze. . .

- Słucham.

- Pan nie ma tu do nikogo...

- Proszę tak nie mówić . Stawka jest zbyt wysoka - przerwał mu Pirx.

Tamten pokiwał głową .

- Zostanie pan, na razie, siedemdziesiąt dwie godziny.

Załatwili my to już z Baz .

- Z Ziemi ...? - Pirx był zaskoczony. - Nie wydaje mi się , abyśmy mogli jeszcze pomóc. . .

- Hoyster, Rahaman i Boulder chcą dokooptować pana do składu komisji. Nie odmówi pan?

Sami ludzie Syrty.

- Choćbym chciał, nie mogłem - odpowiedział i na tym się rozstali.

O dziewięć tej wieczorem zebrali się ponownie. Pełne przesłuchanie tamto było dramatyczne - a jeszcze bardziej film, który przyszło obejrzeć , pokazujący wszystkie fazy katastrofy, od pojawienia się w zenicie zielonej gwiazdy „Ariela”.

Hoyster podsumował potem tymczasowe wyniki badań bardzo lakonicznie.

- Wygląda istotnie na to, że zawiódł komputer. Jeżeli nie ogłosił normalnym trybem meteorologicznego alarmu, zachował ANARRKE 173 się tak, jakby „Ariel” leżał na kolizyjnym kursie z jakimś maszyną . Rejestratory wykazują , że przekroczył dozwoloną moc cięgi o trzy jednostki. Dlaczego to zrobił, nie wiemy. Może wyjątkowo sterownia - miał na myśli tamtych rejestrujących „Ariela”; Pirx był tu sceptykiem. Tego, co się działo w sterowni w ostatnich chwilach, nie można zrozumieć . W końcu tym razem komputer nie zawiódł pod względem operacyjnego tempa w szczycie kryzysu podejmował decyzje z pełną sprawnością , bo iterował w nanosekundach wszystkie swoje polecenia dla agregatów. Takie agregaty pracowały bez zarzutu do końca.

To całkiem pewne. Nie wykryliśmy absolutnie niczego, co by mogło świadczyć o zewnętrznym lub wewnętrznym zagrożeniu procedury wdrożenia i dowodzenia. Od godziny 7,03 do 7,08 przebiegało doskonale. Decyzja komputera - odwrócenia procedury i próby poronnego startu - nie daje się , jak dotychczas, niczym wyjaśnić . Kolego Boulder?

- Nie rozumiem tego.

- Błąd programowania?

- Wykluczony. „Ariel” dowodził tym programem szereg razy - osiowo i we wszystkich możliwych dryfach.

- Ale na Księżycu. Tam jest mniejsze ciśnienie.

-To może mieć pewne znaczenie dla agregatów mocy, ale nie dla zespołów informacji. A moc nie zawiodła.

- Kolego Rahaman?

- Nie znam dobrze tego programu.

- Ale model komputera pan zna?

- Tak.

- Co może przerwać tok procedury i dowania, jeżeli nie ma przyczyn zewnętrznych?

- Nic.

- Nic?

- Bomba podłożona pod komputer - zapewne. . .

174 STANISŁAW LEM Padły wreszcie te słowa. Pirx słuchał z największą uwagą. Szumiały ekshaustory, dym zagęszczał się przy ich wylotach pod sufitem.

- Sabotaż ?

- Komputer działał do końca, jakkolwiek w sposób dla nas niepojęty - zauważył Kerhoven, jedyny inżynier w komisji, który był miejscowym człowiekiem.

- No. . . bomba, tak to tylko powiedziałem - wycofał się Rahaman. - Procedurę główną, w celu i dowania albo startu, może przerwać w normie, jeżeli komputer jest sprawny, tylko coś nadzwyczajnego. Wypadnięcie mocy...

- Moc była.

- Ale w zasadzie komputer może przerwać główną procedurę ?

Przewodniczący wiedział to przecie. Pirx rozumiał, że nie mówi teraz do nich: mówił to, co miała usłyszeć Ziemia.

- Teoretycznie może. Praktycznie, nie. Od czasu powstania kosmonautyki nie zdarzył się alarm meteorytowy w toku i dowania. Meteoryt może na wszelak wykręcić w zbliżeniu. Wtedy i dowanie po prostu się odracza.

- Ale nie było przecie żadnych meteorytów?

- Nie.

To był koniec lepej uliczki. Przez chwilę panowała cisza. Ekshaustory szumiały. Było już ciemno za oknami. Marsjańska noc.

- Potrzebujemy ludzi, którzy budowali ten model i którzy go obciążyli testowo - rzekł wreszcie Rahaman.

Hoyster skinął głową. Przeglądał podany mu przez telefonistkę meldunek. - Do sterowni dotrą za jakiegoś godzin rzekł. A potem podnosił głowę : - Macross i van der Voigt wezmą jutro udział w obradach.

Nastąpiło poruszenie. Byli to główny dyrektor i główny konstruktor stoczni, która budowała stutysięczeniaki.

ANANKE I %S - J u t r o ? - Pirxowi zdawało się, że się przesłyszał.

- Tak. Nie tutaj, oczywiście. Bądź obecni telewizyjnie.

Dziękuję bezpośredniej łeczności. Oto depecha - podniósł meldunek.

- Ale ...! Jakiej jest teraz opinia? - spytał ktoś.

- O minutowe.

- Jak oni to sobie wyobrażają? Będziemy czekali w nieskończoność na każdą replikę - rozległy się głosy.

Hoyster wzruszył ramionami.

- Musimy się podporządkować. Pewno, że to będzie kłopotliwe. Opracujemy odpowiednie procedury...

- Odraczamy obrady do jutra? - spytał Romani.

- Tak. Zbierzemy się o szóstej rano. Będą rejestrować ze sterowni. Pirx, któremu Romani zaoferował nocleg u siebie, był z tego rad. Wolał nie stykać się z Seynem. Rozumiał jego zachowanie, choć go nie pochwalał. Nie bez trudu ulokowano wszystkich Syrtyczyków i o północy Pirx został sam w małej kabinie, która służyła kierownikowi za podręczną bibliotekę i prywatny gabinet roboczy. Położył się w ubraniu na rozstawionym między teodolitami małym łóżku połowym, z rękami pod głowę, wpatrzony w sufit, i leżał tak z nieruchomymi oczami, prawie nie oddychając.

Rzecz dziwna, tam wśród obcych ludzi, przeżywał katastrof jak gdyby z zewnątrz, jak jeden z wielu wiadków; nie był do końca zaangażowany nawet wówczas, gdy wyczuwał niechęć i animozję za pytaniami - wiesz, że w powietrzu oskarżenie intruza o to, że chce zdominować miejscowych specjalistów - nawet kiedy Seyn stawał przeciw niemu; było to wszystko wciąż z zewnątrz, osadzone w naturalnym wymiarze nieuchronnego: tak musiało być w podobnych okolicznościach. Gotów był odpowiadać za to, co zrobił, ale zgodnie z racjonalnymi przesłankami, wciąż nie czuł się odpowiedzialny za nieszczęście. Był wstrząśnięty, zachował jednak spokój, 176 STANISŁAW LEM pozostał w nim do końca obserwator niezupełnie poddany wypadkom, bo układały się systematycznie - przy całej niezrozumiałości moją było selekcyjną, wystygłą, poroździelaną, w uchwycie, jaki nadawał sam oficjalny tok obrad. Teraz to wszystko się rozpadło. Nie myślał nic, nie przywoływał żadnych obrazów, powtarzały się same z siebie od początku: ekrany telewizyjne, na nich - wejście statku w przylądki, wyhamowanie kosmicznej zmiany cięgieł; był jakby wszędzie naraz, w kontroli i w sterowni, znał te głuche udary, te dudnienia rozbiegające się po korytarzach, kiedy wielka moc zastępowała dygotliwą

praca borowodorów, bas, którym turbopompy zapewniały, e tłocz paliwo, wsteczny ci g, opadanie ruf , majestatycznie powolne, małe poprawki boczne i to załamanie si , ten grom nagłego obrotu ci gów, gdy pełna moc znów wskoczyła w dysze, wibracja, destabilizacja, rakieta wychwytywana rozpaczliwie, id ca wahadłem, kołysz ca si jak pijana wie a, nim run ła z wysoko ci ju bezwładna, ju martwa, niesterowna, lepajak kamie , upadek i zgruchotanie góry - a on był wsz dzie. Był jakby samym walcz cym statkiem i odczuwaj c bole nie zupełn niedost pno , ostateczne zamkni cie tego, co si stało, jednocze nie powracał do ułamkowych chwil, jakby z ponawiaj cym si w milczeniu pytaniem, szukaj c tego, co zawiodło. To, czy Klyne usiłował przej stery, było teraz ju bez znaczenia. W gruncie rzeczy kontrola była bez zarzutu, chocia tam sobie artowali, ale to mogło urazi tylko przes dnego czy te ukształtowanego w czasach, w których nie mo na sobie było pozwoli na niefrasobliwo . Rozumowo wiedział, e nic w tym złego. Le ał na wznak, a jakby stał przy sko nym oknie, celuj cym w zenit kiedy ziele iskrz cej si gwiazdy borowodorów pochłon ł straszny słoneczny blask, tym pulsem tak charakterystycznym dla atomowej mocy, w dyszach, co ju poczynały stygn przez to wła nie nie wolno wprowadza całej tak gwałtownie ANANKE I %% - rakieta zahu tała si najpierw jak serce dzwonu kołysanego oszalałymi r kami i kłoniła si swoj niesamowit długo ci , bo była tak ogromna, jakby samymi rozmiarami, samym rozmachem wielko ci wyszła poza granic wszelkich zagro e - tak samo musieli my le , przed wiekiem, pasa erowie „Titanica”.

Nagle wszystko to zgasło, jakby si zbudził. Wstał, umył twarz, r ce, otworzył neseser, wyj ł pi am , pantofle, szczoteczk do z bów, i trzeci raz tego dnia zobaczył siebie w lustrze umywalki - jak kogo obcego.

Mi dzy trzydziestk a czterdziestk , bli ej drugiej: smuga cienia - kiedy ju przychodzi akceptowa warunki nie podpisanego ko_ntraktu, narzuconego bez pytania, kiedy wiadomo, e to, co obowi zuje innych, odnosi si i do ciebie, e z tej reguły nie ma wyj tków: chocia to przeciwne naturze, nale y si jednak starze . Dot d robiło to po kryjomu ciałotego ju nie do . Wymagana jest zgoda. Młodzie czy wiek ustanawia jako regułą gry - nie, jako jej fundament - niezmiennie własn : byłern dziecinny, niedorośli, ale ju jestem prawdziwym sob i taki zostan . Ten nonsens jest przecie podstaw egzystencji. W odkryciu bezzasadno ci tego ustalenia zrazu tkwi wi cej zdziwienia ni l ku. Jest to poczucie oburzenia tak mocne, jakby przejrzał i dostrzegł, e gra, dojakiej ci wci gni to, jest oszuka cza. Rozgrywka miała by całkiem inna; po zaskoczeniu, gniewie, oporze zaczyna si powolne pertraktacje z samym sob , z własnym ciałem, które mo na by wysłowi tak: bez wzgl du na to, jak płynnie i niepostrze enie starzejemy si fizycznie, nigdy nie jeste my zdolni dostosowa si umysłowo do takiej ci gło ci. Nastawiamy si na trzydzie ci pi , potem na czterdzie ci lat, jakby ju w tym wieku miało si zosta , i trzeba potem przy

kolejnej rewizji przełamania samoobłądy, natrafiaj cego na taki opór, e impet powoduje jak gdyby nazbyt daleki skok. Czterdzieł - Opowie o pilocie Pirxie t. II 178 S TANISŁAW LEM stolatek pocnie si wtedy zachowywa tak, jak sobie wyobra a sposób bycia człowieka starego. Uznawszy raz nieuchronno , kontynuujemy gr z ponur zaciekło ci , jakby chc c przewrotnie zdublowa stawki ; prosz bardzo, je li ten bezwstyd, to cyniczne, okrutne danie, ten oblig ma by wypłacony; je eli musz płaci , chocia nie godziłem si , nie chciałem, nie wiedziałem, masz wi cej, ni wynosi zadłuenie - podług tej zasady, brzmi cej humorystycznie, gdyby j tak nazwa , usiłujemy przelicytowa przeciwnika. B d ci tak od razu stary, e stracisz kontenans. Chocia tkwimy w smudze cienia, prawie za ni , w fazie tracenia i oddawania pozycji, w samej rzeczy wci walczymy jeszcze, bo stawiamy oczywisto ci opór, i przez t szamotanin psychicznie starzejemy si skokami. To przeci gamy, to nie doci gamy, a ujrzymy, jak zwykle zbyt pó no, e cała ta potyczka, te samostrace cze przebicia, rejterady, butady te były niepowa ne.

Starzejemy si bowiem jak dzieci, to znaczy odmawiaj c zgody na to, na co zgoda nasza jest z góry niepotrzebna, bo zawsze tak jest, gdzie nie ma miejsca na spór ani walk - podszyt nadto załganiem. Smuga cienia to jeszcze nie memento mori, ale miejsce pod niejednym wzgl dem gorsze, bo ju wida z niego, e nie ma nietkni tych szans. To znaczy: tera niejsze nie jest ju adn zapowiedzi , poczekalni , wst pem, trampolin wielkich nadziei, bo niepostrze enie odwróciła si sytuacja. Rzekomy trening był nieodwołaln rzeczywisto ci ; wst p - tre ci wła ciw ; nadzieje - mrzonkami; nie obowi zuj ce za , prowizoryczne, tymczasowe i byle jakie - jedyn zawarto ci ycia. Nic z tego, co si nie spełniło, ju na pewno si nie spełni; i trzeba si z tym pogodzi milcz c, bez strachu, a je li si da - i bez rozpaczy.

Jest to wiek krytyczny dla kosmonautów - dla nich jak dla nikogo, bo w tym zawodzie ka dy, kto nie jest sprawny doskonale, od razu nie jest nic wart. Jak powiadaj czasem fizjologowie, wymagania stawiane przez kosmologi s zbyt ANANKE I %9 wielkie nawet dla najsprawniejszych cieie nie i duchowo; odpadaj c od czołówki, traci si tu wszystko naraz. Komisje lekarskie s bezwzgl dne w sposób przera aj cy dla jednostek, ale konieczny, bo nikomu nie mo na pozwoli na mier ani na zawał u sterów. Ludzie z pozoru pełni sił schodz z pokładów i za jednym zamachem widz si u kresu; lekarze s tak przyzwyczajeni do wybiegów, do rozpaczliwej dysymulacji, e wykrycie jej nie poci ga za sob adnych konsekwencji dyscyplinarnych, moralnych, niczego; prawie nikt nie mo e przeci gn okresu czynnej słu by poza pi dziesi tk . Przeci enia s najwi kszym wrogiem mózgu; mo e za sto albo za tysi c lat to si zmieni, na razie perspektywa ta zadr cza podczas miesi cy lotu ka dego - w smudze cienia.

Klyne był kosmonaut nast pnej generacji, a jego, Pirxa, wiedział o tym, młodzi nazywali „wrogiem automatów”, „konserwatyst ”, „mamutem”. Niektórzy z jego rówie ników ju nie latali;

podług uzdolnień i możliwości przekwalifikowali się na wykładowców, członków Izby Kosmicznej, szli na synekury po stocznicach, zasiadali w radach nadzorczych, zajmowali się swoimi ogródkami. Na ogół trzymali się; odgrywali nie tylko swoje pogodzenie się z nieuchronnym - ale Bóg wie, ile to niejednego kosztowało. A zdarzały się i postępy nieodpowiedzialne, wynikające z niezgody, bezsilnej odmowy, z pychy i wściekłości, z poczucia niesprawiedliwie doznanego nieszczęścia. Wariatów nie znał ten zawód, ale jednostki zbliżyły się niebezpiecznie w stronę obłędu, choć nie przekraczały ostatniej granicy; jednakowo pod rosnącym ciśnieniem nadciągającego, bywały wysoki, co najmniej dziwaczne. . . O, tak, znał te różne dziwactwa, aberracje, przesydy, którym ulegli i obcy, i ci, z którymi żył się przez lata, za których kiedyś, zdawało się, mógł przejść. Słodką ignorancją nie jest przywilejem fachu, w którym tyle rzeczy trzeba wiedzieć koniecznie; każdemu dnia ginie w mózgu nieodwracalnie 180 STANISŁAW LEM całkiem kilka tysięcy neuronów i już przed trzydziestką rozpoczyna się ten szczególny, niewyczuwalny, ale nieustający wyścig, rywalizacja między słabnącymi funkcjami podmywaną atrofią - i jej doskonaleniem, zawdzięczanym rosnącemu do wiadczenia; tak powstaje chwiejna równowaga, balans i ciężki akrobatyczny, z którym przychodzi się żyć i latać. I nigdy. Kogo zabijał tyle razy poprzedniej nocy? Czy nie miało to jakiego szczególnego znaczenia? Kładąc się na połowym łóżeczku, które zatrzeszczało pod jego ciężarem, pomyślał, że, być może, nie uda mu się zasnąć; nie znał dotychczas bezsenności, ale kiedy musiała przecie nadejść. Ta myśl zaniepokoiła go dziwnie. Bezsennej nocy nie obawiał się wcale, a tylko taka krótkość ciała, oznaczająca rozpanoszenie się tego, co było dotychczas niezawodne, nawet jako możliwość, nabrała w tym momencie sensu niemal klasycznego. Nie zmyślał sobie po prostu lenienia z otwartymi oczami, wbrew woli, więc chociaż było to głupie, usiadł, bezmyślnie spojrzawszy na swój zielony piasek i zwrócił oczy na półki z książkami. Nie spodziewał się na nich niczego ciekawego i zaskoczył go rząd grubych tomów ponad zdziobanymi cyrkłami rysownic. Stała tam, w rozwiniętym szyku, cała niemal historia areologów, większość tych księzek znał, bo te same egzemplarze tkwiły w jego bibliotece na Ziemi, wstał i po kolei jęł dotykać solidnych grzbietów. Był tu nie tylko ojciec astronomii Herschel, ale sam Kepler, *Astronomia nova seu Physica coelestis tradita commentariis de motibus stellae martis* - podług badań Tycho de Brahe, wydanie z 1784 roku. A dalej Flammarion, Backhuysen, Kaiser i wielki fantasta Schiaparelli, jego *Memoria terza*, ciemne wydanie rzymskie, i Arrhenius, i Antoniadi, Kuiper, Lowell, Pickering, Saheko, Struve, Vaucouleurs a także Wernhera Brauna z jego *Projektem Marsa. I mapy, rulony map, ze wszystkim kanałami - Margaritifera Sinus, Lacus Solis* i sam Agathodaemon. . . Stał tak, nie musiał otwierać żadnej z tych księzek o ANARRKE 181 wylizganych, gnznych jak deski okładkach. W zapachu starego płótna, osnowy, ółtawych kart, w którym było coś dostojnego i strupieszalego zarazem, ożyły godziny spędzone nad

tajemnic szturmowan przez dwa wieki, obl on mrowiem hipotez: umierali po kolei, nie doczekawszy si rozstrzygni cia. Antoniadi przez całe ycie nie widział kanałów, a u schyłku staro ci niech tnie przyznał si „, do jakich linii, co podobnie wygl dały”. Graffnie dostrzegł adnego do ko ca, i mówił, e brak mu „imaginacji” kolegów. „Kanałi ci” za widzieli i rysowali po nocach, czekaj c godzinami u okularu na jeden z sekundowych momentów znieruchomienia atmosfery, bo wówczas - zapewniali - na buromgławowej tarczce pojawia si precyzyjnie ostra, od włosa cie sza sie . Lowell rysował g st , Pickering rzadsz , ale ten miewał szcz cie do „geminacji”, jak nazywano zdumiewaj ce podwajanie si kanałów.

Złudzenie? Wi c czemu niektóre kanały nigdy si nie chciały podwaja ? I czał nad tymi ksi kami jako kadet, w czyteln, bo zabytkowych nie wypo yczano. Był - czy trzeba to powiedzie ? - po stronie „kanalistów”. Ich argumenty brzmiały mu niezbitc: Graf F, Antoniadi, Hall, którzy pozostali niewiernymi Tomaszami, mieli obserwatoria w miastach Północy, zadymionych, z wiecznie ruchliwym powietrzem, podczas gdy Schiaparelli pracował w Mediolanie, a Pickering siedział na swojej górze, nad pustyni Arizony. „Antykanali ci” robili przemy lne eksperymenty : dawali odrysowywa tarczki z beładnie naniesionymi kropkami i kleksami, które, przy wi kszej odległoci, układały si w podobie stwo sieci kanałów, a potem pytali: Dlaczego nie wida ich przez najsilniejsze instrumenty? Dlaczego nieuzbrojonym okiem mo na si dopatrzy kanałów i na Ksi ycu? Dlaczego nie widzieli adnych kanałów pierwsi obserwatorzy, a po Schiaparellim ju wszyscy poszli pod jego komend ? A tamci odpowiadali: W erze przedteleskopowej nikt nigdy adnych kanałów na Ksi ycu nie dostrzegł. Du e teleskopy nie pozwalaj stosowa pełnej 182 STANISŁAW LEM apertury, maksymalnych powi ksze , bo atmosfera ziemiska nie jest dostatecznie spokojna; eksperymenty z rysunkami s wymini ciem sprawy. „Kanałi ci” na wszystko mieli odpowied . Mars - to jeden olbrzymi zamarni ty ocean, kanały - to p kni cia jego lodowych pól, rozmykaj cych si pod uderzeniami meteorytów; nie: kanały - to szerokie doliny, którymi płyn wody odwil y wiosennej, a na brzegach rozkwita wtedy marsja ska ro linno . Spektroskopia przekre liła i t szans ; zbyt mało wyjawia wody, wi c ujrzeli w kanałach ogromne zapadliska, długie doliny, którymi płyn od bieguna ku równikowi rzeki chmur, pop dzane konwekcyjnymi pr dami. Schiaparelli nigdy nie chciał wyra nie o wiadczy , e s to twory obcego rozumu, wykorzystywa dwuznaczno terminu „kanał”, był to szczególny punkt - owa wstydlivo mediola czyka i wielu innych astronomów, nie nazywali rzeczy po imieniu, rysowali tylko mapy i przedstawiali je, ale Schiaparelli pozostawił w papierach rysunki tłumacz ce, w jaki sposób mo e przychodzi do rozdwojania si słynnej geminacji: gdy woda wdziera si do równoległych koryt, dotychczas wyschłych - jej przybór zaciemnia nagle linie, jakby kto napu cił tuszu do zaci w drzewie. Przeciwnicy za nie tylko przeczyli istnieniu

kanałów, nie tylko gromadzili negatywną argumentację, ale z biegiem czasu zdawali się wyżywić demnich coraz bardziej palącą nienawiść. Wallace, drugi obok Darwina twórca teorii naturalnej ewolucji, więc nawet nie astronom, który w życiu chyba nie widział Marsa przez szkła, w stustronicowym pamflecie zniszczył wraz z kanałami wszelkie możliwości istnienia życia na Marsie; Mars pisał - nie tylko nie jest zamieszkany przez inteligentne istoty, jak to głosi pan Lowell, ale jest absolutnie niemieszkalny.

Nie było letnich areologów, ka dy musiał wyrazić swoje credo. Następna generacja kanalistów opisywała już cywilizację Marsa i rozżew powiększał się: cały obszar prac ANAnKE 183, rozumu - mówili jedni; pustynny trup - odpowiadali im drndzy. Potem Saheko dostrzegał owe tajemnicze błyski, krótkotrwałe, wygaszane powstającymi chmurami, zbyt krótkie jak na wulkaniczny wybuch, pojawiające się przy wzajemnej opozycji planet, co wyklucza odbłyśk Słońca w lodowym stoku górskim, i to jeszcze przed wyzwoleniem energii atomowej, także w marsjańskich testach jądrowych wynikała później. . . Jedna strona musiała mieć słuszność; w pierwszej połowie dwudziestego wieku godzono się powszechnie, że nie ma wprawdzie geometrycznych kanałów Schiaparellego, ale istnieje jednak coś, co umożliwia ich dostrzeżenie, okopowa i d a, lecz nie halucynuje z niczego; kanały obserwowało zbyt wielu ludzi ze zbyt wielu różnych miejsc Ziemi. A więc pewno nie otwarte wody w polach lodowych i nie prąd niskich chmur w brzegach dolin, może nawet nie pasy roślinności, ale jednak coś, kto wie - bardziej jeszcze niezrozumiałego, zagadkowego, co czekało oczu ludzkich, fotograficznych obiektów i automatycznych sond.

Pirx nie przyznał się nikomu do myśli, jakie towarzyszyły tym zachłannym lekturom, lecz Boerst, bystry i bezwzględny, jak przystało na prymusa, wydobyl na jaw jego tajemnicę i uczynił go na kilka tygodni po mewiskiem kursu: zrobił z niego „kanałowca Pirxa”, który w astronomii obserwacyjnej ufundował doktrynę, „credo, quia non est”,. Albowiem Pirx wiedział przecie, że nie ma żadnych kanałów i że, co gorsze, a co chyba jeszcze okrutniejsze, nie ma w ogóle niczego, co by je przypominało. Jak mógł nie wiedzieć, skoro Mars był zdobyty od lat, skoro zdawał areograficzne kolokwia i nie tylko musiał orientować dokładne mapy fotograficzne pod okiem asystentów, ale na praktycznych zajęciach dowodził, w symulatorze, na tym samym dniu Agathodaemona, na którym teraz stał, pod kloszem Projektu, przed półką z dwustuletnim dorobkiem astronomii, stanowiłymu 184 STANISŁAW LEM zeałny zabytek. Ma się rozumieć, że wszystko to wiedział, lecz wiedza ta tkwiła w jego głowie gdzie zupełnie o sobie, nie podlegała sprawdzeniom, jakby były jednym wielkim oszustwem. Jak gdyby nadal istniał jakiś inny, nieosiągalny, pokryty zarysem geometrycznym, tajemniczy Mars.

Podczas lotu na linii Aresterra jest taki czas, taka strefa, z której doprawdy zaczyna się widzieć gołym okiem - i to widzieć trwale, godzinami - to, co Schiaparelli, Lowell i Pickering obserwowali tylko w mgnieniach atmosferycznego zastoju. Przez bulaje można zobaczyć kanały - czasem przez dobę, niekiedy przez dwie - formując się nikielkim rysunkiem w tle białej, nieprzyjaznej tarczy. A potem, gdy glob zbliży się bardziej, poczynają nikiel, rozpuszcza się, jeden po drugim rozpląwają się w nic, nie zostaje po nich najślabszy ład, a tylko wyzbyta wszelkich ostrych konturów tarcza planetarna zdaje się swoją nudną, szarobojną ciemnością z nadziei, jakie wzbudziła. Zapewne: po dalszych tygodniach lotu co wreszcie wyłania się definitywnie i już nie rozpląwa, ale wtedy są to po prostu wyszczerbione obrzeża i najwielszych kraterów, dzikie nagromadzenia zwietrzałych skał, bezładne rumowiska utopione w głębi bokich pokładach białego piachu, niepodobne w niczym do tamtej czystej precyzji geometrycznego rysunku. Swoją chaos planetę objawia z bliska już uległe i ostatecznie, niezdolna wycofać się z tak naocznego obrazu miliardoletniej erozji; chaos ów nie daje się wprost pogodzić z tamtym pamielnym, czystym rysunkiem, który stanowił zarys czegoś, co przemawiało tak intensywnie i budziło takie wzruszenie, ponieważ szło o logiczny ład, o niezrozumiałą, ale manifestującą się obecność sensu, który domagał się jedynie znaczniejszego wysiłku - dla ogarnięcia.

Więc gdzie on wam ciwie był i co kryło się w tak szyderczym mirażu? Projektacja siatkówki oka, jej optycznych mechanizmów? Aktywność wzrokowej kory mózgu? Na to pytanie 185 lat temu nikt nie zamierzał udzielić odpowiedzi, ponieważ problemem, kiedy upadł, podzielił los wszystkich przekreślonych, przez postępy zgruchotanych hipotez: wymieciono go do rupieciarni. Skoro nie było kanałów ani nawet czegoś szczególnego w rzebie planety, co by w wyjątkowy sposób stwarzało ich doskonałe wrażenie - nie było o czym mówić, nad czym się zastanawiać. Wiadomo dobrze stało, że tych trzech wielkich rewelacji nie dożył „kanalista”, tak samo jak i „antykanalista”, ponieważ zagadka wcale nie została rozwiązana: ona tylko znikła. Sprzeciwne inne planety o niewyraźnych tarczach; kanałów nie widziano na żadnej - nigdy.

Nikt ich nie dostrzegł, nikt nie rysował. Czemu? Nie wiadomo.

Zapewne można było sformułować hipotezy i na ten temat: potrzebna była szczególna mieszanina dystansu i powiększenia optycznego, przedmiotowego chaosu i podmiotowej tęsknoty za porządkiem, ostatnich ładów tego, co, wyłaniając się z mętnej plamki w okularze, trwając poza granicę postrzegalności, sekundowo do niej jednak prawie docierało; czyliniechby najniklejszego oparcia i nie wiadomych jego potrzeby roje, aby został napisany ten rozdział, zamknięty już, astronomii.

dając od planety, aby się opowiedziała pojednej ze stron, trwając na pozycjach gry do końca uczciwej, pokolenia areologów schodziły do grobu twierdząc w to, że sprawa zostanie

si wreszcie przed wła ciwe trybunały, e zostanie do ko ca sprawiedliwie i wyra nie rozstrzygni ta. Pirx czuł, e oni wszyscy - cho , dla rozmaitych przyczyn, w niejednakowy sposób - poczuliby si zawiedzeni i oszukani, gdyby mogli dost pi dokładnego o wiecienia, jakie stało si jego udziałem. W tym przekre leniu pyta i odpowiedzi, w totalnej nieodpowiednio ci poj wzgl dem zagadkowego obiektu - była jaka gorzka, ale istotna, okrutna, ale pouczaj ca 186 STANISŁAW LEM lekcja, która - przeszło go nagle ol nienie - miała zwi zek z tym, w co teraz wszedł i nad czym łamał sobie głow .

Zwi zek starej areografi z katastrof „Ariela”? Ale jaki?

I jak nale ało rozumie to m tne, chocia tak intensywne wyobra enie? Nie wiedział. Był jednak zupełnie pewien, e tego poł czenia tak niepodobnych do siebie, tak odległych spraw ani teraz, w rodku nocy, nie przejrzy - ani nie zapomni.

Nale ało rzecz przespa . Gasz c wiatło pomy lał jeszcze, e Romani musiał by o wiele bogatszym duchowo człowiekiem, ni by si dało przypu ci . Te ksi ki stanowiły jego własno prywatn , a o ka dy kilogram osobistych rzeczy, przywo onych na Marsa, szły spory; rozwa ny zarz d Projektu pozawieszał w ziemskim kosmodromie instnzkeje i apele do poczucia lojalno ci pracowników, tłumacz c, jak obci enie rakiet zb dnym balastem szkodzi sprawie. Dopraszano si racjonalno ci, a sam Romani, w ko cu kierownik Agathodaemona, naruszył owe przepisy i zasady, przywo c kilkadziesi t kilogramów dzieł wszechstronnie zb dnych - po co wła ciwie? O tym, aby je mógł czyta , nie było mowy.

Ju w ciemno ci u miechn ł si , senny, do my li, która wyja niała racje tych bibliofilskich staroci pod kloszem marsjskiego Projektu. Zapewne, nic nikomu po takich ksi kach, po ewangeliach i zburzonych prorocत्वach. Ale wydawało si rzecz godziw , wi cej - konieczn , eby my li tych ludzi, którzy oddali co mieli najlepszego, zagadce czerwonej planety, znalazły si - przy pełnym ju pogodzeniu najzacieklejszych przeciwników - na Marsie. To im si nale ało; a Romani, który rzecz rozumiał, był godnym zaufania człowiekiem.

Zbudził si w pi tek z kamiennego snu, od razu trze wy, jakby wyszedł z chłodnej wody, i maj c jeszcze kilka chwil dla siebie - dał sobie pi minut, nieraz tak robił - pomy lał o dowódcy rozbitego statku. Nie wiedział, czy Klyne mógł uratowa „Ariela” z trzydziestoma lud mi załogi, ale nie wieANANKE I ó% dział te , czy Klyne próbował walczy . To było pokolenie racjonalistów, podci gali si do niezawodnie logicznych sojuszników - komputerów, bo stawały coraz wi ksze wymagania, gdy je kto chciał kontrolowa . Tote łatwiej było si zda na nie lepo. On tego nie potrafił, chocia by sto razy chciał.

T nieufno miał w ko ciach. Wł czył radio.

Burza wybuchła. Spodziewał się jej, lecz zaskoczyły go rozmiary hysterii. Trzy kwestie dominowały w radiowym przeglądzie prasy: podejrzenia o sabotaż, niepewność losu statków lecących na Marsa i - oczywiście - konsekwencje polityczne całej sprawy. Największe dzienniki były ostrożne w wysuwaniu hipotezy sabotażu, ale prasa brukowa tu sobie pofolgowała. Moc były te krytyki stutysiczników: że ich nie wypróbowano dostatecznie, że nie mogły startować z Ziemi, że - co gorsze - niepodobna było zawrócić ich z drogi, bo brakło im dostatecznej rezerwy paliwa; nie dałoby się ich te wyładować na okołomarsjańskich orbitach. To była prawda; musiały stanąć na Marsie. Ale trzy lata wcześniej próbnym prototypem, co prawda z innym nieco modelem komputera, udało się dowozić na Marsie kilkakrotnie z pełnym powodzeniem. Domoro im rzeczoznawcy zdawali się o tym nie wiedzieć. Rozpętała się ta kampania zmierzająca do zniszczenia politycznych popleczników Projektu Marsa; nazywano go wręcz szaleństwem.

Musiał już gdzieś być gotowe listy wykroczeń przeciwko bezpieczeństwu prac na obu przyczółkach, krytykowano sposób zatwierdzania projektów i testowania prototypów, suchej nitki nie zostawiono na czołowych postaciach marsjańskiego zarządu; ogólny ton było kasandryczny.

Kiedy zgłosił się o szóstej do kierownictwa, okazało się, że nie należało już do żadnej komisji, bo te ich samozwańcze organizacje Ziemia zdawała już anulować; mogli robić, co chcieli, ale wszystko miało się rozpocząć od nowa, oficjalnie i legalnie, dopiero po przyłączeniu ziemskiej grupy. Zdy188 STANISŁAW LEM misjonowane gremium znalazło się jak gdyby w korzystniejszej niż wczoraj sytuacji: skoro nie miało o niczym decydować, tym swobodniej można było przygotować postulaty i wnioski dla instancji wyższej, to znaczy ziemskiej. Sytuacja materiałowa była w Wielkiej Syrcie dość zła, ale nie krytyczna, natomiast brak dostaw musiał rozłożyć przyczółek Agathodaemona w ciągu miesiąca; o tym, by Syrta mogła mu przyjąć efektywną pomoc, nie było mowy. Brakowało nie tylko budowlanych materiałów, ale nawet wody. Wprowadzenie reżimu najwyższej oszczędności na bieżąco było konieczne. Słuchał tego Pirx jednym uchem, bo tymczasem dostarczono aparaturę rejestrującą ze sterowni. Szczegółowe ludzkie znajdowały się już w pojemnikach; co do tego, czy będą pochowane na Marsie, nie podjęto jeszcze decyzji. Rejestratorów nie można było badać niezwłocznie, potrzebne były niejaki przygotowania i dlatego omawiano sprawę niezwiązane bezpośrednio z przyczynami i przebiegiem katastrofy: czy mobilizacja największej liczby mniejszych statków nie odwróciłaby groźby zagłady Projektu, czy dałoby się nimi dostarczyć życiowego minimum ładunków w dostatecznie krótkim czasie - przy czym Pirx pojmował racjonalnie takich poszukiwań, ale zarazem trudno mu było nie myśleć o obu stutysicznikach znajdujących się na kursie Marsa, które owymi uwagami jak gdyby już z góry przekreślano; jakby uznawano, że o ich dalszym ruchu na tej linii nie może być mowy. Wiadomo, że co się miało z nimi stać - skoro musiały iść daleko? Wszyscy obecni znali już reakcję amerykańskiej prasy,

a na bie co dostarczono na sal radiogramy ze streszczonymi wyst pieniami polityków - niedobrze to wygl dało: Projekt jeszcze nie zd ył, ustami swoich przedstawicieli, rozpocz składania wyja nie ,aju znalazł si pod ogniem koncentrycznego oskar enia. Pojawiały si nawet epitety pomawiaj ce o „zbrodnicz lekkomy lno ”. Pirx nie chciał mie z tym nic wspólnego, tote ANANKE I 89 koło dziesi tej wymkn ł si z zadymionej sali i skorzystaw; szy z grzeczno ci mechaników obsługi kosmodromu, poje! chał małym łazikiem na miejsce katastrofy.

; Dzie , jak na Marsa, był raczej ciepły i prawie pochmurny. Niebo przybrało rzadki, nie tyle rdzawy, co niemal ró owy kolor; w takich chwilach wydaje si , e Mars posiada wła' sn , odmienn od ziemskiej, surow urod , nieco zawoalowan , jakby nie oczyszczon , która niebawem wyłoni si w mocniejszych promieniach sło ca spod pyłowych zamieci i brud; nych smug, lecz oczekiwania takie nie chc si spełnia ; nie chodzi o zapowied , lecz o najlepszy z pejza y, jakie planeta ma do pokazania. Pozostawiwszy przysadzisty, do bunkra podobny budynek kontroli lotów o półtorej mili za sob , dojechali do ko ca startowych płyt, bo zaraz dalej łazik beznadziejnie ugrz zł. Pirx miał na sobie lekki półskafander, jakim si wszyscy tu posługiwali, jaskrawoniebieski, du o wygodniejszy od wysokopró niowego, z l ejszym te tornistrem, dzi ki otwartemu obiegowi tlenowemu; co jednak le dziai łało w klimatyzacji, bo gdy spotniał od szybszych ruchówtrzeba si było przedziera przez lotne wydmy - zaraz mu zamgliło szyb w hełmie; tyle e tutaj nie było to nieszcz ; ciem, bo pomi dzy pier cieniem hełmu a piersiow cz ci skafandra zwisały, niczym korale indora, lu ne woreczki, w które wtykało si r k , i od rodka mo na było sobie przetrze I szkło, sposobem wprawdzie prymitywnym, ale skutecznym.

Dno ogromnego leja było zapchane maszynami g sienicowymi: wykop, którym dotarto do sterowni, przypominał istny ! otwór kopalnianego szybu, był nawet osłoni ty z trzech stron płatami ebrowanej blachy aluminiowej dla ochrony przed zsypywaniem si piasku. Połow leja zajmowała centralna , cz kadłuba, wielka jak transatlantyk wyrzucony burz na l d i rozbity o skały; pod ni krz tało si z pi dziesi ciu lu dzi, ale i oni, i ich d wigi z koparkami wygl dały jak mrówki 190 STANISŁAW LEM u zwłok olbrzyma. Sam dziób rakiety, prawie nietkni ty, licz cy sobie osiemna cie metrów, nie był st d widoczny, bo impet cisa ł nim o kilkaset metrów dalej; siła mia d ca zderzenia była straszna, skoro znajdowano grudki nadtopionego kwarcu - energia ruchu zmieniła si momentalnie w ciepłn , daj c termiczny skokjak przy upadku meteorytu, chocia szybko nie była wszak zbyt znaczna: w granicach d wi kowej.

Pirx odniósł wra enie, e dysproporcja pomi dzy rodkami, jakimi dysponował Agathodaemon, a ogromem wraku - nie jest wystarczaj cym usprawiedliwieniem sposobu prowadzenia eksploracji; było to oczywi cie improwizowanie, ale było te w tym improwizowaniu nieco bałaganu, prawdopodobnie wywołanego wiadomo ci , e szkodajest wprost

niewyobra alnie ogromna. Nie ocalała nawet woda, bo wszystkie cysterny co do jednej pop kały i piasek pochłon ł tysi ce hektolitrów, nim reszta obróciła si w lód. Ten lód zwłaszcza robił makabryczne wra enie, poniewa z kadłuba - rozprutego na długo dobrych czterdziestu metrów - wywalały si brudne, połyskliwe lodospady, opieraj c si dziwacznymi festonami o wydmy, jakby eksploduj ca rakietę wyrzuciła z siebie ca zimow Niagar . Ale te było osiemna cie stopni zimna, a w nocy temperatura spadła do sze dziesi ciu. Przez ten lód, kaskad szkl cy bok „Ariela”, wrak wygl dał niesamowicie staro, mo na było s dzi , e le y tu od niepami tnych czasów. Trzeba było go rozbija i ku , eby dosta si do wn trza kadłuba, albo te penetrowa je od strony szybu. Wyci gano tamt dy ocalałe pojemniki, których stosy wida było tu i tam na stoku leja, ale działo si to jako niemrawo. Dost p do rufowej cz ci był wzbroniony; rozpi te na linach, furkotały zawzi cie czerwone chor giewki - znaki radioaktywnego ska enia. Pirx obszedł gór , po obwałowaniu, teatr katastrofy; naliczył dwa tysi ce kroków, nim znalazł si ponad okopconymi lejami dysz; z ymał si patrz c, jak robotnicy wyci gali ANarr 191 i nie mogli wyci gn jedynej ocalałej cysterny z olejem p dnym, bo im si ła cuchy wci ze lizgiwały; zdawało mu si , e jest tu niezbyt długo, kiedy kto dotkn ł jego ramienia i pokazał mu zegar butli tlenowej. Ci nienie spadło i trzeba było wraca , bo zapasowej nie wzi ł. Zegarek, ten nowy chronometr, wyjawiał , e tkwił u szcz tków niemal dwie godziny.

Sala obrad zmieniła si : miejscowi zasiadali z jednej strony długiego stołu, po drugiej za ustawili technicy sze du ych płaskich telewizorów; e jednak, jak zwykle, co jeszcze nie chciało gra w ł czno ci, odroczone obrady do pierwszej.

Haroun, technik-telegrafista, którego Pirx znał przelotnie z Wielkiej Syrty, a który ywił dla , nie wiedzie czemu, wielkie uszanowanie, dał mu pierwsze powielone odbitki ta m z tak zwanej nie mirtelnej komory „Ariela”; były to utrwalone decyzje rozrz du mocy, Haroun za nie miał prawa wr czy mu ich nieoficjalnie, ale Pirx ocenił wła ciwie ów gest. Zamkn ł si w swym pokoiku i pod siln lamp zacz ł na stoj co przegl da jeszcze wilgotnawy w plastikowej ta my.

Obraz był tyle wyra ny, co niezrozumiały. W 317 sekundzie procedury, dot d bezbł dnie czystej, pojawiły si w obwodach kontroli pr dy paso ytnicze, które w nast puj cych sekundach przybrały posta dudnie . Dwukrotnie wygaszone, po przerzuceniu obci e na równoległe, rezerwowe cz ci sieci, wróciły w spot gowaniu, a dalej tempo pracy czujników narosło trzykrotnie wzgl dem normy. To, co miał w r ku, nie było rejestrem pracy samego komputera, lecz jego „rdzenia pacierzowego”, który, pod zarz dem automatycznej zwierzchno ci, uzgadniał otrzymane polecenia ze stanem agregatów nap dowych. Układ ten nazywano niekiedy

„mó d kiem”, przez analogi do mó d ku zawiaduj cego te u człowieka - jako stacja kontroli, mi dzy kor a ciałem - korelacji ruchów.

192 STANISŁAW LEM Obejrzał sobie wykres pracy „mó d ku” z najwi ksz uwag . Wygl dało tak, jakby komputerowi spieszyło si , jakby - nie naruszaj c w niczym procedury - domagał si w jednostce czasu coraz wi kszej liczby danych o podzespołach.

Spowodowało to informacyjny tłok i wyst pienie pr dów pasy ytnicznych, mianowicie echowych; odpowiednikiem ich byłby u zwierz cia nadmiernie spot gowany tonus, czyli taka skłonno do zaburze motoryki, jak zwie si pogotowiem drgawkowym. Nic z tego nie rozumiał. Nie miał, co prawda, najwa niejszych ta m, utrwalaj cych decyzj samego komputera; Haroun dał mu to, czym sam dysponował. Kto zapukał do drzwi. Pirx schował ta my do nesesera i wyszedł na korytarz; stał tam Romani.

- Nowi panowie te chc , eby pan uczestniczył w pracach komisji - powiedział. Nie był taki wydrenowany z sił, jak poprzedniego dnia, wygl dał ju nie le, chyba pod wpływem antagonizmów powstaj cych w organizowanej tym osobliwym sposobem komisji. Pirx pomy lał, e zgodnie z prost logik rzeczy nawet niech tni sobie „Marsjanie” Agathodaemona i Syrty zjednocz si , je li „nowi panowie” b d chcieli narzuci im własn koncepcj post powania.

Komisja, ta nowo utworzona, składała si z jedenastu osób. Przewodniczył nadal Hoyster, ale jedynie dlatego, e nikt nie mógł podoła temu zadaniu, pozostaj c na Ziemi; obrady, w których uczestniczyli ludzie oddaleni o 80 milionów kilometrów, nie mogły i sprawnie i je li zdecydowano si na tak ryzykowne rozwi zanie, to na pewno pod wpływem rozmaitych nacisków, jakie musiały ju działa na Ziemi.

Katastrofa uczynniła antagonizmy, tak e polityczne, w których ognisku od dawna działał cały Projekt.

Zrazu rekapitulowano jedynie uzyskane wyniki - dla Ziemian. Pirx znał spo ród nich tylko głównego dyrektora stoczni, van der Voyta. Barwny obraz telewizyjny, przy doANANKE I 93 skonanej wierno ci, dodawał mu jakby monumentalnych rysów; było to popiersie ogromnego człowieka z twarz zarazem obwisł i od t , pełn władczej energii, otoczony kł bami dymu, jakby go tam gdzie podkadzano - niewidzialnym cygarem, gdy r ce van der Voyta były niewidoczne. To, co mówiło si na sali, słyszał z czterominutowym opó nieniem, a jego głos dopiero po nast pnych czterech minutach mógł tu rozbrzmie . Pirx poczuł do niego od razu niech , bo główny dyrektor zdawał si zasiada w ród nich sam jeden -jak gdyby inni ziemscy rzeczoznawcy, co czasami mrugali z pozostałych ekranów, byli figurantami.

Gdy Hoyster sko czył, przyszło czeka osiem minut, ale Ziemianie nie chcieli na razie zabiera głosu: van der Voyt za dał ta m z „Ariela”, które ju le ały przy mikrofonie Hoystera.

Kiedy członek komisji otrzymał powielony ich komplet. Nie było tego dużo, zważywszy, że rejestraty obejmowały tylko ostatnie pięć minut pracy sterowniczego kompleksu.

Ta my, przeznaczone dla Ziemi, wzięli na cel kameryzacji, a Pirx zajął się swoimi, od razu odłożywszy na bok te, które już znalazł dla Harounowi.

Komputer podjął decyzję odwrócenia procedury lądowania na startów w 339 sekundzie. Nie był to start zwykły, lecz ucieczka w górę, jakby przed meteorami - więc właściwie nie wiadomo co, bo miało to wygląd rozpaczliwej improwizacji. To, co się działo potem, owe zwariowane skoki krzywych na taśmach podczas runienia - uznał Pirx za całkiem nieistotne, ponieważ szło tam już tylko o sposób, w jaki komputer dławiał się, nie mogąc wypłynąć nawarzonego przez siebie piwa.

Istotne było teraz nie analizowanie szczegółów makabrycznej agonii, lecz przyczyna decyzji równoznacznej w efekcie z aktem samobójczym.

Przyczyna ta pozostała niejasna. Komputer pracował od 170 sekundy pod olbrzymim stresem i wykazywał niesamowite opowieści o pilocie Pirxie. II 194 STANISŁAW LEM wite przeciwnie informacyjne, ale takim miedzym łatwo było okazać się teraz, bo widziało się wszakże cokolwiek skutki jego pracy; o tym, że jest przeciwny, zawiadomił swoją sterownię, to znaczy - ludzi „Ariela”, dopiero w 201 sekundzie procedury. Już wtedy dławiał się danymi - a dał wci nowych.

Zamiast wyjść nie dostali w ręce nowe zagadki. Hoyster dał im dziesięć minut na obejrzenie taśm i spytał potem, kto chce zabrać głos. Pirx podniósł palec jak w szkolnej ławce. Nim otworzył usta, inny Stotik, który był przedstawicielem stoczni i miał baczność na przebieg rozładunku stutysięczników, zauważył, że trzeba zaczekać - być może, jako pierwszy ze chce przemówić ktoś z Ziemi. Hoyster zawahał się. Był to nieprzyjemny incydent, zwłaszcza że doszło do niego już na samym początku; Romani poprosił o głos w sprawie formalnej i o wiadczył, że jeżeli dbało o równouprawnienie zasiadających w komisji odbijających się szkodliwie na płynności obrad, ani on, ani nikt z ludzi Agathodaemona w komisji pracować nie zamierza. Stotik wycofał się i Pirx mógł wreszcie mówić.

- To jest podobno udoskonalona wersja AIBM 09 rzekł. - Ponięwa przelatałem z AIBM 09 prawie tysiąc godzin procedur, mam pewne praktyczne spostrzeżenia co do jego pracy. Na teorii się nie znam. Wiem tyle, ile muszę wiedzieć. Chodzi o pracę w realnym czasie komputer, który musi zawsze zdążyć z przerabianiem danych. Słyszałem, że ten nowy model ma przepustowość o 36 procent większą niż AIBM 09. To sporo. Na podstawie materiału, który dostałem, mogę powiedzieć, że było tak: komputer wprowadził statek w normalny tok lądowania, a potem sam zaczął sobie utrudniać pracę, dając od podzespołów coraz większą liczbę danych na jednostkę

czasu. Efekt był taki, jakby dowódca kompanii odrywał coraz większą liczbę ludzi od walki po to, aby z nich robić gołębiów czy informatorów; postępując w ten sposób, byłby pod koniec bitwy doskonale poinformowany; tyle ANANKE 19\$ nie miałyby już żołnierzy, nie miałyby się kim bawić. Komputer nie tyle został udławiony, ile sam się udławił. Zablokował się w eskalacji i musiałby się zablokować, nawet gdyby miał dziesięć razy większą przepustowość - o ile nie przestałby podwyższać wymagań. Mówiąc bliżej matematyki: redukuje sobie przepustowość po eksponencie, wskutek czego „módel ek” - jako kanał w szczy - zawiódł pierwszy.

Opóźnienia pojawiły się w „módelku”, a potem przeskoczyły do samego komputera. Wchodząc w stan informacyjnego zadłuzenia, czyli przestając być maszyną czasu realnego, komputer zagłuszył się sam i musiał podjąć decyzję radykalną, więc powziął decyzję startu, czyli wyinterpretował powstałe zakłócenia jako skutek z zewnątrz pochodzącej awarii.

- Dał ostrzeżenie meteorytowe, jak pan to tłumaczy? spytał Seyn.

- W jaki sposób mógł się przełamać z procedury głównej na podziemną - nie wiem. Nie znam się na tym, bo nie znam się na budowie komputera, przynajmniej w sposób dostateczny. Dlaczego dał ten alarm? Nie wiem. W każdym razie jest dla mnie niezbyt, więc to on był winien.

Teraz trzeba już było czekać na Ziemi. Pirx był pewien, że van der Voyt zaatakuje go, i nie omylił się. Miśsiasta, która twarz spoglądała na niego przez dym cygara, zarazem oddalona i bliska; kiedy van der Voyt odezwał się, jego bas był uprzejmy, a oczy uśmiechnięte i yczliwie, z tak wszechwiednią dobroduszością, jakby się preceptor zwracał do ucznia.

- Wią komandor Pirx wyklucza sabotaż? Ale na jakiej podstawie? Co znaczą słowa „on jest winien”? Kto „on”?

Komputer? Ale przecież komputer, jak sam komandor Pirx przyznał, pracował do końca. A więc program? Ale ten program nie różni się w niczym od programów, dzięki którym komandor Pirx i dowodził setki razy. Czy pan uważa, że ktoś dokonał manipulacji nad programem?

196 STANISŁAW LEM - Nie mam zamiaru wypowiadać się na temat, czy zaszedł jakiś sabotaż - rzekł Pirx. - To mnie na razie nie interesuje. Gdyby komputer i program były w porządku, to „Ariel” stałby tu cały, a nasza rozmowa nie byłaby potrzebna. Na podstawie tego mogę twierdzić, że komputer pracował we właściwym kierunku, w obrębie właściwej procedury, ale tak, jak gdyby chciał okazać się perfekcjonistą, któremu żadna osiągnięta sprawnie nie wystarcza. Z danych o stanie rakiety w rosnącym tempie, nie uwzględniłam ani własnych możliwości granicznych, ani pojemności kanałów zewnętrznych. Dlaczego tak działał, nie wiem. Ale właściwie nie tak działał. Nie mam nic więcej do powiedzenia.

Nikt z „Marsjan” się nie odezwał. Pirx, z nieruchomą twarzą, dostrzegł błysk satysfakcji w oku Seyna i milczące zadowolenie, z jakim Romani poprawił się na krześle. Po ośmiu minutach

znów odezwał się van der Voyt. Tym razem nie mówił do Pirxa. Nie mówił też do komisji. Był sam swad .

Przedstawił drogę, jak przebywa kady komputer - od montażu owej taśmy do sterowni okrętu. Agregaty składało w częściach osiem rozmaitych firm japońskich, francuskich i amerykańskich. Nie wypełnione jeszcze pamięćmi, „nic nie wiedzące” jak noworodki, jechały do Bostonu, gdzie w zakładach „Syntronics” odbywało się ich programowanie. Po tym kolejnym akcie kady komputer podlegał procedurze, która jest niejako odpowiednikiem nauk szkolnych, gdy składa się zarówno z dostarczania pewnych „do wiadomości”, jak i z poddawania „egzaminom”. Tak jednak badano sprawną ogólną; „studia specjalistyczne” rozpoczynał komputer w fazie następnej. W niej dopiero stawał się z uniwersalnej maszyny cyfrowej - sterownikiem raket typu „Ariela”. I wreszcie podłączano go na roboczym stanowisku do symulatora, który imitował niezliczone sekwencje zdarzeń z tych, co bywają składowymi kosmicznej podróży: nieprzewidziane awarie, defekty zespołu, sytuacje trudnego manewru, także przy niesprawnych układach napędowych, pojawianie się na bliskim dystansie innych rakiet, obcych ciał. Każde z tych na ładowanych przygodach odgrywano w setkach wariantów: zakładając raz statek załadowany, a raz pusty, raz poruszający się w wysokiej próżni, a raz wchodzący w atmosferę, stopniowo komplikując się mulowane sytuacje - a do pojawienia się najtrudniejszych problemów wielu ciał w polu grawitacyjnym, kiedy to zmuszano maszynę, by przewidywała ich ruchy i orientowała bezpiecznie kurs swego statku.

Symulatorem także był komputer pełniący rolę „egzaminatora”, i to perfidnego; wstępnie utrwalony program „uczni” poddawał niejako dalszym obróbkom, próbom na wytrzymałość i sprawną; jakkolwiek więc elektroniczny zwiadowca sterów nigdy nie prowadził napraw statku, kiedy go montowano wreszcie na pokładzie rakiety, miał więc kłopoty do wiadomości i wyszło sprawnie nim wszyscy razem wzięci ludzie, co kiedykolwiek parali się kosmiczną nawigacją. Tak trudnych zadań, jakim musiał komputer podołać na stanowiskach symulacyjnych, nigdy nie spotkał się w rzeczywistości; aby zaś stuprocentowo wykluczyć wszelkie możliwości przełknięcia się niewszzechstronnie doskonałego egzemplarza przez to ostatnie sito, nadzór nad pracą dwójki „sterownik + symulator” pełnił człowiek, do wiadomości programista, który ponadto musiał posiadać wieloletnią staż praktycznego pilota, przy czym „Syntronics” nie zadowolili się angażowaniem na te odpowiedzialne stanowiska pilotów: pracowali tam wyłącznie kosmonauci powyżej rangi nawigatora, czyli tacy, co mieli ponad tysiąc godzin głównych procedur na swoim koncie i zawodowym. W ostatniej instancji od tych ludzi zależało więc, jakim testom z nieprzebranego ich katalogu zostanie poddany kolejny komputer; fachowiec wyznaczał rozmiary trudności do pokonania, a powodując symulatorem, dodatkowo kom198 STANISŁAW LEM

plikował „egzaminę”, bo na lądował, w toku rozwoju zrywania zadań, nagłe i groźne niespodzianki: wypadanie mocy, rozogniskowanie cięgów, sytuacje kolizyjne, przebicia powłoki zewnętrznej, utratę czułości z naziemną kontrolą podczas lądowania, i nie ustawał w tym, a upłynęło sto godzin standardowych testów. Egzemplarz, który okazałby w nich najmniejszą zawodność, był kierowany na powrót do pracowni, jak kiepski uczeń, któremu przychodzi powtarzać rok. Wyniósłszy tym przemówieniem produkcję stoczni ponad wszelkie zarzuty, chcąc pewno zatrzymać obronę takiej obrony, w pińskich okresach prosił van der Voyna komisję o bezkompromisowe zbadanie katastrofy i jej przyczyn, za czym odezwali się specjaliści ziemscy. Rzecz utonęła od razu w zalewie uczonej terminologii. Pojawiły się na ekranach schematy ideowe i blokowe, wzory, wykresy, zestawienia numeryczne, i Pirx widział z osłupieniem, że znajdują się na najlepszej drodze obrócenia sprawy w pogmatwany casus teoretyczny. Po głównym informatyku mówił cyfronik Projektu Schmidt; Pirx przestał go szybko słuchać. Nie zależało mu na tym, aby dziękująco wyjść obronę z kolejnego starcia z van der Voynem, jeżeli do niego przyjdzie. Było to zresztą coraz mniej prawdopodobne: wystąpienia jego nikt nie wspominał, jakby szło o nietaktowny wyskok, który godzi się najrychlej zapomnieć. Następni mówcy wlecieli już na wysokie piętra ogólnej teorii sterowania. Pirx wcale nie podejrzewał ich o złe woli; po prostu rozwijał nie opuszczali terenu, na którym czuli się mocni, a van der Voyn z ufną powagą przysłuchiwał się im, w dymie cygara, bo stało się to, do czego zmierzał: prym wzięła w obradach Ziemia i „Marsjanie” pozostali w rolach biernych słuchaczy. Zresztą nie dysponowali żadnymi rewelacjami. Komputer „Ariela” był elektronicznym gruzem, którego badanie nie mogło dać żadnych rezultatów. Rejestraty obrazowały z grubsza, co zaszło, ale nie, czemu się tak stało. Nie ANarr 199 opisujące wszystkiego, co się dzieje w komputerze: do tego byłby potrzebny inny, większy komputer, a gdyby uznał, że i ten może ulec defektowi, należałoby z kolei nadzorować nadzorcę i tak w nieskończoność. Tak więc znaleźli się na szerokiej wodach abstrakcyjnej analizy. Główna wypowiedź osłaniała prosty fakt, że katastrofa nie ograniczała się do zagłady „Ariela”. Stabilizacja olbrzyma, schodzącego na planetę, przejęty od ludzi automaty tak dawno, że był to fundament, niewzruszalny grunt wszystkich działań - który nagle usunął się spod nóg. Jeden z modeli gorzej zabezpieczonych i prostszych nigdy nie zawiódł, więc jak mógł zawieść model doskonalszy i pewniejszy? Jeżeli to było możliwe, również możliwe było wszystko. Zwłaszcza, raz zaatakowany niezawodnie urządził, nie mogło się już zatrzymać na żadnej granicy. Wszystko grzęzło w niepewności. Tymczasem „Ares” i „Anabis” zbliżyły się do Marsa. Pirx siedział jakby zupełnie sam, bliski rozpaczy. Doszło w końcu do klasycznego sporu teoretyków, który coraz dalej odwoził ich od samego wydarzenia z „Arielem”. Patrzył w zarazem otyłą i masywną twarz van der Voyna, dobrotliwie patronując obradom, Pirx odnajdywał w jej wyrazie podobieństwo do oblicza starego

Churchilla, z jego pozorną dystrakcją, której zadawało kłopot drganie ust odzwierciedlające uśmiech wewnątrz trzmy, skierowany ku myśli skrytej ciemiemi powiekami. To, co było wczoraj jeszcze nie do pomyślenia, stało się prawdopodobne - jako próba skierowania obrad ku werdyktowi, który zrzuciłby odpowiedzialność na siły wyszłe, może na fenomeny dotychczas nieznane, na lukę w samej teorii, z konkluzją, że trzeba podjąć zakrojone na wielką skalę i na całe lata badania. Znał podobne, chociaż mniejsze kalibrem sprawy i wiedział, jakie siły musiała uruchomić katastrofa; za kulisami toczyły się już wyczerpane starania o kompromis, zwłaszcza o Projekt, tak zagrożony w całości, był skłonny do niejednego ustępstwa za 200 STANISŁAW LEM cen uzyskania pomocy, a tej mogły w końcu nie udzielić zjednoczone stocznie, chociaż by dostarczały na dogodnych warunkach flotyllę mniejszych statków dla zapewnienia dopływu dostaw. Wobec rozmiarów stawki - bo chodziło już o byt całego Projektu - katastrofa „Ariela” stawała się przeszkodą do usunięcia, jeżeli nie można jej było niezwłocznie wyjąć.

Nie takie afery nieraz już zamazywano. Miał wszakże jeden atut. Ziemianie przyjęli go, musieli wyrazić zgodę na jego obecność w komisji, ponieważ był w niej jedynym człowiekiem zwiastującym z załogami rakiet mocniej niż ktokolwiek inny z obecnych. Nie miał złudzeń: wcale nie szło o jego dobre imię ani o kompetencje. W komisji był po prostu nieodzowny przynajmniej jeden kosmonauta czynny, zawodowiec, co w końcu zeszedł z pokładu. Van der Voyt palił w milczeniu cygaro.

Zdawał się wszytkowiedny, ponieważ rozsądnie milczał. Wolałby pewno kogoś innego na miejscu Pirxa, ale skoro go łąco nadało, zabrakło pretekstu, żeby się go pozbyć. Gdyby więc, przy mglistym werdykcie, złożył swoje vol: m separatum, zyskałby znaczny rozgłos. Prasa wietrzyła skandale i czyhała tylko na taką okazję. Związek Pilotów i Klub Przewoźników nie stanowiły potęg, ale sporo od nich zależało - ci ludzie kładli przeciętne głowy pod Ewangelię. Toteż Pirx nie zdziwił się, usłyszawszy podczas przerwy, że van der Voyt chce z nim mówić. Przyjacieli potężnych polityków otworzył rozmowę, że to jest spotkanie na szczycie - dwóch planet. Pirx miewał niekiedy odruchy, którym sam się potem dziwił. Van der Voyt palił cygaro i zwilgał sobie gardło piwem, on zaś poprosił, by mu przyniesiono kilka kanapek z bufetu. Słuchał więc głównego dyrektora w pomieszczeniach łączności, jedząc. Nic nie mogło ich lepiej zrównać.

Van der Voyt jakby nie wiedział, że się poprzednio starli.

Nic takiego nigdy po prostu nie zaszło. Podzielał jego troskę o załogi „Anabisa” i „Aresa”; dzielił się z nim swymi kłopotami. Oburzała go nieodpowiedzialność prasy, jej histeryczny ton. Prosił go o ewentualne opracowanie małego memoriału w sprawie następnego lądowania: co można zrobić dla zwiększenia ich bezpieczeństwa. Pokładał w nim takie zaufanie, że Pirx przeprosił go na chwilę i wystawiwszy głowę przez drzwi kabiny kazał sobie dołożyć sałatki

ledziowej. Van der Voyt basował mu i ojcował, a Pirx rzekł znienacka: - Mówił pan o tych rzeczoznawcach nadzoruj cych symulacj . Kto to jest, z nazwiska?

Van der Voyt zdziwił si po o miu minutach, ale to było jedno mgnienie oka.

- Nasi „egzaminatorzy”? - u miechn ł si szeroko.Sami pana koledzy, komandorze. Mint, Stoernhein i Cornelius. Stara gwardia. . .Wytypowali my dla „ Syntronics” najlepszych, jakich mo na było znale . Pan ich na pewno zna!

Dłu ej nie mogli rozmawia , bo zaczynały si obrady. Pirx zapisał karteczk i podał j Hoysterowi z uwag : „To bardzo pilne i bardzo wa ne”. Przewodnicz cy odczytał wi c zaraz ów tekst, zwrócony do kierownictwa stoczni. Trzy pytania: I) W jaki sposób zmianowo pracuj naczelni kontrolerzy symulacyjni Cornelius, Stoernhein i Mint? 2) Czy i jaka jest odpowiedzialno ponoszona przez kontrolerów w wypadku przeoczenia bł dnych funkcji lub innych uchybie pracy obci anego komputera? 3) Kto z nazwiska nadzorował testowanie komputerów „Ariela”, „Anabisa” i „Aresa”?

Wywołało to poruszenie na sali: Pirx najwyra niej dobierał si do najbli szych mu ludzi - czciogodnych, zasłu onych weteranów kosmonautyki! Ziemia potwierdziła ustami głównego dyrektora odebranie tych pyta ; odpowiedzi miano udzieli w ci gu kilkunastu minut.

Oczekiwał jej zgryziony. le si stało, e zdobywał informacje na tak oficjalnej drodze. Ryzykował nie tylko animozj kolegów, lecz i osłabienie własnej pozycji w rozgrywce, gdy202 STANISŁAW LEM by miało doj do votum separatum. Czy próba wyj cia ledztwa poza sprawy techniczne, ku ludziom nie mogła by wyło onajako uleganie naciskom van der Voyta? Widz c w tym interes stoczni, generalny dyrektor niezwłocznie by go pogr ył, dostarczaj c prasie odpowiednich napomknie . Rzuciłby jej Pirxa na po arcie jako niezr cznego sojusznika. . . Lecz nie pozostawało nic innego, jak ten lepy strzał. Na zdobywanie informacji prywatnie, drog okóln , nie było czasu. Co prawda, nie ywił adnych okre lonych podejrze . Czym si wi c kierował? Do m tnymi wyobra eniami o niebezpiecze stwach czaj cych si zawsze nie po stronie ludzi i nie po stronie automatów, lecz na styku - tam, gdzie jedni kontaktuj si z drugimi, bo sposób rozumowania ludzi i komputerów jest tak niesamowicie ró ny. Ijeszcze tym, co wyniósł z chwili sp dzonej przed półk starych ksi ek, a czego nie potrafiłby nawet wyrazi . Odpowied przyszła rychło: ka dy kontroler prowadził swoje komputery od pocz tku do ko ca testów, kład c za podpis na akcie nosz cym nazw „ wiadectwa dojrzało ci”, ponosił odpowiedzialno za dysfunkcjonalne przeoczenia. Komputer „Anabisa” badał Stoernhein, pozostałe dwa - Cornelius. Pirx miał ochot wyj z sali, na co nie mógł sobie jednak pozwoli . Ju i tak czuł narastaj ce wokół napi cie. Obrady zako czyły si o jedenastej. Udał, e nie dostrzega znaków, jakie dawał mu Romani, i wyszedł czym pr dziej, jakby uciekał. Zamkn wszy si w swojej klitce, gruchn ł na

łó ko i podniósł oczy do sufitu. Mint i Stoernhein nie liczyli si . Pozostawał tedy Cornelius. Umysł racjonalny i naukowy zacz łby rzecz od zapytania, co takiego mógł wła ciwie przeoczy kontroler? Niezwłoczna odpowied , e zupełnie nic, zamkn łaby i t odnog ledztwa. Pirx nie był jednak naukowym umysłem, wi c pytanie takie nie przyszło mu nawet do głowy. Nie próbował te zastanawia si nad sam procedur testow , jakby czuł, e i to le si dla niego sko czy. My łat po prostu o Corneliusie takim, jakim go znał, a znał go nie le, ANANr 203 cho rozstali si przed wielu laty. Stosunki ich układały si i kiepsko, w czym nic dziwnego, zwa ywszy, e Cornelius był dowódc „Crulliwera”, on za młodszym nawigatorem. Układały si jednak gorzej ni zwykle w takiej sytuacji, gdy Cornelius był potworem dokładnie ci. Nazywano go m kalem, skrupulatem, liczykrup i łowc much, poniewa potrafił zmobilizowa pól załogi dla pogoni za muszk na pokładzie. Pirx u miechn ł si na my l o swych osiemnastu miesi cach pod skrupulatem Corneliusem; teraz mógł sobie na to pozwoli , wtedy wychodził ze skóry. Có to był za nudziarz! A jednak wszedł nazwiskiem do encyklopedii w zwi zku z badaniami zewn trznych planet, zwłaszcza Neptuna. Mały, szarawy na twarzy, wiecznie zły, podejrzewał wszystkich o to, e chc go oszuka . W rzeczy, jakie opowiadał - e przeprowadza osobiste rewizje załóg, bo mu ludzie szmugluj muchy na pokład - nie wierzono, ale Pirx akurat wiedział, e nie było to zmy lenie. Cornelius miał w szufladzie pudło pełne proszku DDT i potrafił zastyga w rozmowie z podniesionym palcem (biada temu, kto nie zamarł na ów znak), łowi c uchem to, co mu si wydało bzykni ciem. W kieszeni nosił pion i metr stalowy; kontrola ładunku w jego wykonaniu przypominała wizj lokaln na miejscu katastrofy, która wprawdzie nie zaszła jeszcze, ale nadci ga. Miał w uszach okrzyk: „Liczydło idzie, kryj si !” - po którym mesa pustoszała; pami tał szczególnie wyraz oczu Corneliusa, które jak gdyby nie brały udziału w tym, co akurat robił lub mówił, lecz nawiercały otoczenie, ; poszukuj c w nim nie doprowadzonych do ładu miejsc. W ludziach lataj cych dziesi tkami lat gromadz si dziwactwa, ale Cornelius był ich rekordzist . Nie znosił niczyjej obecno ci za plecami, a kiedy przypadkiem siadł na krze le, na którym ; kto siedział przed chwil , i wyczuł to po ciepłe siedzenia, zrywał si jak oparzony. Był z tych, których wygl du w młodo ci w ogóle nie mo na sobie wyobrazi . Nie opuszczał go wyraz zgn bienia niedoskonało ci wszystkich dokoła; cier204 STANISŁAW LEM piał, poniewa nie mógł ich nawrócić na swoj pedantyczno . Pukaj c palcem w rubryki, po dwadzie cia razy w kółko sprawdzał. . .

Pirx zamarł. Potem usiadł powoli, jakby stał si ze szkła.

My l, biegn c w ród chaotycznych wspomnie , zawadziła niewidzialnie o co i było to niczym pogłos alarmu. Co wła ciwie? e nie cierpiał nikogo za plecami? Nie. e zam czal podwładnych? I co z tego? Nic. Alejakby blisko. Był terazjak chłopiec, który błyskawicznie

zamknął gar, by pochwycić uczka, i trzymał zaciśniętą piastkę przed nosem - bojąc się, że otworzy. Powoli. Cornelius, prawda, słyszał ze swoich rytuałów. (Czy to?... - zatrzymywał się na próbie myślenia). Kiedy przychodziło do zmiany przepisów, wszystko jedno jakich, zamykał się z urzędowym piśmem w kajucie i nie wyszedł z niej, dopóki nie wykuł nowo ci na pamięć. (To było teraz jak zabawa w „ciepło-zimno”. Czuł, że się oddala...) Rozstali się dwadzieścia lat temu. Cornelius znikł dziwnie, jako raptownie, na szczycie rozgłosu, który zawdzięczał eksploracji Neptuna. Mówiono, że wróci na pokład, a locjusz wyklada tylko czasowo, lecz nie wrócił. Naturalna rzecz, był przy pięćdziesięciu. (Znowu nie to). Anonim. (Słowo to wypłynęło nie wiedzieć skąd). Jaki znowu anonim? Ze jest chory i dysymuluje? że grozi mu zawał? Skąd. Ten anonim to była zupełnie inna historia, innego człowieka - Corneliusa Craiga, tu - imię, tam - nazwisko. (Pomyliłem się?... Tak).

Lecz anonim nie chciał szczeżn. Dziwna rzecz, nie mógł się odkleić od tego słowa. Im energiczniej je odrzucał, tym idiotyczniej wracało. Siedział skurczony. W głowie - muł. Anonim. Teraz był już niemal pewien tego, że słowo to przesłania jakie inne. To się zdarza. Wskoczy fałszywe hasło i nie można ani pozbyć się go, ani zderzyć z tego, które zakrywa.

Anonim.

Wstał. Na półce, pamiętał, tkwił między marsjanami gruby słownik. Otworzył go na chybił trafił przy „AN”. Ana.

ANaNXE 205 Anakantyka. Anaklasyka. Anakonda. Anakreontyk. Anakruza. Analekta. (Ilu słów człowiek nie zna. . .) Analiza. Ananas.

Ananke (greckie) : Bogini przeznaczenia. (To. . . ? Ale co ma wspólnego bogini...) Tak e: Przymus.

Łuski spadły. Zobaczył biały gabinet, plecy lekarza, który telefonował, okno otwarte i papiery na biurku, które podwijał przecięg. Zwykłe badanie lekarskie. Nie starał się wcale przeczytać maszynowego tekstu, ale oczy same pochwyciły drukowane litery, jako chłopiec jeszcze uczył się uporczywie czytania do góry nogami. „Warren Cornelius, rozpoznanie: Syndrom anankeastyzny”. Lekarz zauważył rozsypanie papierów, zebrał je i schował do teczki. Czy nie był ciekaw, co oznaczała ta diagnoza? Chyba tak, ale czuł, że to nie byłoby w porządku - a potem zapomniał. Ile lat temu? Co najmniej sześć.

Odstawił słownik, jednocześnie nie poruszony, rozgrzany wewnątrz trznie, ale i rozczarowany. Ananke - przymus, więc chyba nerwica natręctw. Nerwica natręctw! Czytał o niej, co się tylko dało, jako chłopiec jeszcze - była taka rodzinna sprawa - chciał się dowiedzieć, co to znaczy i pamięć, chociaż nie bez oporu, przecie udzielała wyjaśnienia. Już co jak co, ale pamięć miał dobrą. Powracały zdania lekarskiej encyklopedii w krótkich błyskach oświecenia, bo się od razu nakładały na

posta Corneliusa. Widział go teraz zupełnie inaczej niż dotychczas. Było to zarazem wstydlive i ałosne widowisko. A więc to dlatego myślał o tym po dwadzieścia razy dziennie i musiał ugiąć się za tymi muchami, i w ciekawość, gdy zginęła mu kartka-zakładka do książki, i trzymał rącznik pod kluczem, i nie mógł siadać na cudzym krześle. . . . Jedne czynności przymusowe rodziły następne, coraz mocniej oblażył go ich pomiot, a stawał się po mieszkaniu. Nie uszło to w końcu uwagi lekarzy. Zdziesiął go z pokładu. Gdy Pirx wytrzymał pamięć, wydało mu się, że na samym dole strony znajdowały się trzy 206 STANISŁAW LEM słowa rozstrzelone: „niezdolny do lotów”. A że psychiatra nie znał się na komputerach, pozwolił mu pracować w „Syntronics”. Pewno uznał, że to właśnie nie doskonałe miejsce dla takiego skrupulatnika. Co za pole do popisu dla pedanterii!

Corneliusa musiało to podnieść na duchu. Praca użyteczna i - co najważniejsze - w najcięższym związku z kosmonautyką . . .

Leżał z oczami wlepionymi w sufit i nie musiał się nawet specjalnie wysilać, żeby sobie wyobrazić Corneliusa w „Syntronics”. Co tam robił? Nadzorował symulatory przy obciążeniu okrętowych komputerów. To znaczy - utrudniał im pracę, a dawanie szkółki było jego żywiołem. Niczego lepiej nie umiał. Ten człowiek musiał być w stałej rozpaczce, że weźmie go w końcu za wariata, jakim nie był. W sytuacjach prawdziwie krytycznych nigdy nie tracił głowy. Był dzielny, ale ta dzielność na co dzień zjadała mu po trochu natręctwa. Pomiędzy załogę i swoich pracowników w trzech musiał się czuć jak między młotem a kowadłem. Patrzył na cierpienie nie dlatego, że ulegał owym musom, że był szalony, ale dlatego właśnie nie, że z tym walczył i bezustannie szukał pretekstów, usprawiedliwień, potrzebne były mu te regulaminy, chciał się nimi wytłumaczyć, że to nie on wcale, że to nie z niego ten wieczny dryl. Nie miał duszy kaprala - no bo czy w takim wypadku czytałby Poego, historie makabryczne i niesamowite? Może szukał w nich swojego piekła? Miewał w sobie taki kłóbkę drucianych musów, takie ęrdzie jakie, tory i wciśnięte z tym biem, zgniatało to, wciśnięte od nowa. . . . Na dzień tego wszystkiego był strach, że stanie się coś nieprzewidzianego, przeciw temu się tak wciśnięto dozbierał, musztrował, wiczył, tejego próbnego alarmy, wizytacje, kontrole, bezsensowne ęnienie po całym statku, wielki Boże - wiedział, że się z niego w kłóbkę miewał, może nawet pojmował, jakie to wszystko niepotrzebne. Czy jest do pomysłenia, że on się na tych komputerach ANANKE 207 tam jakby męcił? że im dawał szkołę? Jeśli i tak było, chyba nie zdawał sobie z tego sprawy. To się nazywa wtórna racjonalizacja. Wytłumaczył sobie, że właśnie nie tak powinien postępować .

Zadziwiająca rzecz, jak przyłożeńie do tego, co już poprzednio wiedział, co znał w postaci szeregu anegdot - całkiem innego języka, terminów medycznych, nadawało zdarzeniom nowy sens. Mógł zajrzeć w głębię, a pozwalał na to wytrych, jakiego dostarcza psychiatria. Mechanizm cudzej

osobowo ci objawiał się nagi, zwiły, zredukowany do garstki nieszczęśliwych odruchów, którym nie można było pomóc. Myślał o tym, że nie mógł być lekarzem i tak właśnie nie traktował ludzi, nawet żeby im pomagać, wydała mu się do niesamowitości odpychająca. Zarazem rozciągnęła się aura błędnego światła, co otaczała jakby nikłą obwódką wspomnienia o Corneliusie, szczęścia.

W tym nowym, niespodziewanym widzeniu nie było miejsca na przymieszek cwaniackiego, złośliwego humoru rodem ze szkoły, koszar i pokładów. Nie było nic w Corneliusie, z czego można było się cieszyć.

Praca w „Syntronics”. Zdawałoby się - idealnie dostosowana do człowieka: obciążona, wymagała, komplikowała do granic wytrzymałości. Mógł wreszcie wyswobodzić uwięzione w sobie myśli. Dla nie wtajemniczonych wyglądało to znakomicie: stary praktyk, do wiadczonego nawigatora przekazuje swój najlepszy wiedzą automat; cóż może być lepszego?

A on miał przed sobą niewolników i nie musiał się powściągać, skoro nie byli ludźmi. Schodzący z taśmy komputer jest jak noworodek: tak samo zdalny do wszystkiego, a nic nie umie.

Pobieranie nauk jest wzrostem specjalizacji i zarazem utratą pierwotnego niezręczności. Na stanowisku kontroli komputer pełni rolę mózgu, gdy symulator jest naładowny ciała. Mózg podłączony do ciała - oto właśnie ciwa analogia.

208 STANISŁAW LEM Mózg musi orientować się w stanie i gotowość komunikacji, podobnie komputer - ma znać stan okrętowych zespołów. Wysyła elektrycznymi drogami rojowiska pyta, jakby ciskał tysiące naraz piłeczek we wszystkie zakamarki metalowego olbrzyma, i z echowych odpowiedzi tworzy sobie obraz rakiety i jej otoczenia. W tym niezawodnie wkroczył człowiek cierpiący na lęk przed niespodziewanym i zwalczający go rytuałami natręctw. Symulator stał się narzędziem przymusu, wcieleniem jego lękowych zagrożeń. Działał w zgodzie z zasadami naczelny: bezpieczeństwo. Czy to nie wyglądało na chwalebne gorliwość? Jak on się musiał starać! Normalny tok uznał niebawem za nie do pewny. Im trudniejsza sytuacja statku, tym szybciej należało się o niej informować. Uważał, że tempo sprawdzania agregatów ma być skorelowane z wagą procedury. A ponieważ najważniejsza jest procedura ładowania... Czy zmienił program? Ani trochę, jak nie zmienia przepisów podręcznika kierowcy ten, kto sprawdza silnik auta co godzina zamiast raz dziennie. Toteż program nie mógł się mu opierać. Dążył w kierunku, w którym program nie miał zabezpieczeń, bo coś takiego nie przyszło do głowy żadnemu programiście. Jeżeli tak przeciwny komputer zawodził, Cornelius kierował go na powrót do działu technicznego. Czy zdawał sobie sprawę z tego, że zaraża je natręctwami? Chyba nie, był praktykiem, nie orientował się w teorii, skrupulatnie niepewności - takim był ten wychowawca maszyn.

Przeciłał komputery, ale có - nie mogły si przecie skar y . Były to nowe modele, przypominaj ce zachowaniem gracza w szachy. Komputer-gracz pobije ka dego człowieka pod warunkiem, e jego pedagogiem nie b dzie jaki Cornelius.

Komputer przewiduje ruchy partnera na dwa-trzy posuni cia naprzód gdyby usiłował je przewidzie na dziesi ci gów, udławiłby si nadmiarem mo liwych wariantów, bo one rosn wykładniczo. Do przewidzenia dziesi ciu mo liwych ruchów kolejnych na szachownicy nie wystarczy i trylionowo ANANKE 2 9 operacji. Takiego samoparali uj ego si szachist zdyskwalifikowałyby pierwsza rozgrywka. Na pokładzie rakiety nie było to zrazu widoczne: mo na obserwowa tylko wej cia i wyj cia układu, nie to, co dzieje si w rodku. W rodku narastał tłok, na zewn trz wszystko biegło normalnie - do czasu.

A wi c tak je układał - i takie repliki umysłu, który ledwo sprawia si z realnymi zadaniami, bo tyle sobie wytworzył fikcyjnych - stan ły u steru stutysi czników. Ka dy z tych komputerów cierpiał na syndrom anankastyczny: przymusowe powtarzanie operacji, komplikowanie czynno ci prostych, manieryzm, obrz dkowo , uwzgl dnianie „wszystkiego naraz”. Nie na ladowały oczywi cie l ku, a tylko struktur wla ciwych mu reakcji; paradoksalne: to wła nie, e były nowymi, udoskonalonymi modelami o zwi kszonej pojemno ci, przyczyniło si do ich zguby, poniewa tak długo mogły przecie działa mimo stopniowego zadławiania obwodów sygnałowym tłokiem. Ale w zenicie Agathodaemona jaka ostatnia kropla przepelniła czar : mo e były ni pierwsze uderzenia wichury, wymagaj ce błyskawicznych reakcji, ale zagwo d ony lawin , któr sam w sobie rozp tał, komputer nie miał ju c z y m sterowa . Przestał by urz dzeniem czasu realnego, nie nad ał ju z modelowaniem zaj rzeczywistych - ton ł w urojeniach. .. Znajdował si naprzeciw olbrzymiej masy: tarczy planetarnej - i program nie pozwalał mu po prostu zrezygnowa z kontynuowania procedury, raz wszcz tej, chocia zarazem kontynuowa jej ju nie mógł. Wyinterpretował wi c sobie planet j a k o m e t e o r le cy na kursie kolizyjnym, poniewa to była ostatnia otwarta furtka, poniewa tak jedyn ewentualno dopuszczał program. Nie mógł przekaza tego ludziom w sterowni, bo nie był przecie rozumuj cym człowiekiem! Rachował do ko ca, obliczał szanse: zderzenie było pewn zagład , ucieczka - tylko w dziewi dziesi ciu kilku procentach, wybrał wi c ucieczk : awaryjny start!

I4 - Opowie o pilocie Pirxie t. II 210 STANISŁAW LEM Wszystko to układało si logicznie - lecz bez najmniejszego dowodu. Nikt nie słyszał dot d o takim wypadku. Kto mógł potwierdzi przypuszczenia? Zapewne psychiatra, który leczył Corneliusa, i pomógł mu, a mo e tylko zezwolił obj t prac . Ale przez wzgl d na tajemnic lekarsk nie powiedziałyby nic. Rozłama j mógłby tylko wyrok s dowy. Tymczasem „Ares” za sze dni. . .

Pozostawał Cornelius. Czy domyślał się? Czy pojmował teraz, po tym, co się stało? Pirx nie potrafił się wczuć w sytuację starego dowódcy. Było to niedotykalne jak z cian ze szkła. Jeśli powstały w nim nawet jakieś wątpliwości, sam nie dopowie ich sobie do końca. Będzie się bronił przed takimi konkluzjami, to chyba oczywiste. . .

Rzecz wyjdzie przecie na jaw - po kolejnej katastrofie.

Jeśli w dodatku „Anabis” wyszło dużej części, rachuba czysto statystyczna - nie zawiodły komputery, za które odpowiada Cornelius - skieruje podejrzenia w jego stronę. Zaczyna brać pod lupkę każdy szczegół i wtedy, po nitce do kłębka. . .

Ale nie można przecie zeznać z żałobnikami. Co robi? Wiedział dobrze: skasował całą pamięć maszynową „Aresa”, przekazał oryginalny program drogą radiową, informatyk pokładowy dał sobie z tym radę w ciągu kilku godzin.

Ale by wystąpił z czymś takim, trzeba mieć w ręku dowody. Niechby tylko jeden. Niechby, na koniec, same poszlaki: ale on nie miał nic. Jedno wspomnienie, sprzed lat, jakiejś historii choroby, do góry nogami odczytanej w dwóch wierszach. . .

przezwiśka i ploteczki... anegdoty, jakie opowiadano o Corneliusie. . . katalog jego dziwaństw. . . Niepodobna wystąpić przed komisją z czymś takim jako dowodem schorzenia i przyczyn katastrofy. Jeśli nawet, rzucając takie oskarżenie, nie zważa na starego człowieka, to pozostaje „Ares”. Przez czas trwania operacji statek będzie jak ślepy i głuchy, skoro pozbawiony komputera.

ANANKE Z I I Najważniejszy był „Ares”. Rozważał projekty już na pół szalone: jeśli nie może zrobić tego oficjalnie, czy nie wystartował i nie wysłał „Aresowi” ostrzeżenia i opisu tego myślowego ledztwa - z pokładu „Cuiviera”? Mniejsza o konsekwencje, ale to było zbyt ryzykowne. Nie znał dowódcy „Aresa”. Czy sam podporządkowałby się radom obcego człowieka opierając się na takich hipotezach? Przy zupełnym braku dowodów? Wątpliwe. . .

Pozostawał więc tylko sam Cornelius. Znal jego adres: Boston, zakłady „Syntronics”. Ale jakże zażąda, by ktoś tak nieufny, pedantyczny i skrupulatny przyznał się do popełnienia właśnie tego, czemu usiłował przez całe życie zapobiec?

Był może, po rozmowach w cztery oczy, po perswazjach, po wskazaniu na groźbę zawisłą nad „Aresem”, wyraziłby zgodę na to ostrzeżenie i poparłby je, bo był uczciwym człowiekiem.

Ale w dyskusji prowadzonej między Marsiem i Ziemią, z ośmiominutowymi pauzami, naprzeciw ekranu, a nie żywego rozmówcy, obnażony takie oskarżenie na głowę bezbronny, dałby, aby się przyznał do zabójstwa - choć nieumyślnego - trzydziestu ludzi? Niemożliwe.

Siedział na łóżku ciskając jedną ręką w drugiej, jakby się modlił. Odczuwał bezmierne zdziwienie, że to możliwe: tak wszystko wiedzieć i tak nic nie móc! Objął wzrokiem księżki na

półce. Dopomogły mu - własną przegraną. Przegrali wszyscy, ponieważ spierali się o kanały, czyli o to, co rzekomo było na odległej planecie, w szklach teleskopów, a nie o to, co było w nich samych. Spierali się o Marsa, którego nie widzieli; widzieli dno własnych umysłów, z niego wylęgły się obrazy heroiczne i fatalne. W przestrzeni dwustu milionów kilometrów rzutowali własne rojenia - zamiast nad sobą się zastanowić. Tak jest i tutaj kiedyś, kto pakował się w głąb teorii komputerów i w niej szukał przyczyn katastrofy, oddalał się od sedna rzeczy. Komputery były bezwonne i neutralne, tak 212 STANISŁAW LEM samo jak Mars, do którego on tę wywił jakie bezsensowne pretensje, jak gdyby wiat był odpowiedzialny za majaki, które usiłuje mu narzucić człowiek. Ale te stare księgi zrobiły już wszystko, co mogły. Nie widział wyjścia.

Na ostatniej, dolnej półce była i beletrystyka; w ród kolorowych grzbietów wypełżył niebieskawy tom Poego. Wiadomo i Romani go czytał? On sam nie lubił Poego za sztuczność języka, wymyślną wizję, która nie chciała się przyznawać do tego, że jest rodem ze snu. Ale dla Corneliusa była to prawie Biblia. Bezmyślnie wyjął ów tom, otworzył mu się w rękach na spisie rzeczy. Odczytał tytuł, który go poraził. Cornelius dał mu to raz, po wachcie, zachwalał tę opowieść o wykryciu mordercy fantastycznie wyreżyserowanym, nieprawdopodobnym sposobem. Potem on sam jeszcze chwalił ją - musiał fałszywie - wiadomo, dowódca ma zawsze rację . . .

Najpierw tylko bawił się pomysłem, który go nawiedził otem zaczął się do niego przymierzać. Było to trochę jak sztubacki kawał - a zarazem jak podły cios w plecy. Dzikie, niewydarzone, okrutne - ale kto wie, czy nie skuteczne w tej właśnie sytuacji: aby wysłać w depeszy te cztery słowa. Byłoby to te podejrzenia są jedyną brednią. Cornelius, do którego odnosiła się historia choroby, to całkiem inny człowiek, a ten obciął komputery dokładnie podług normatywów i do niczego nie może się poczuwać. Otrzymałszy tak depeszę, wzruszył ramionami, myślał, że jego dawny podwładny pozwolił sobie na kretyński dowcip, w najwyższym stopniu odrażający - ale tego nie wiecie nie pomyśleć i nie uczynić. Jeśli jednak wiadomo o katastrofie wzbudziła w nim niepokój, nieokreślone podejrzenie, jeżeli już się po trosze zaczyna domyślać własnego udziału w nieszczęściu i stawia tym domysłem opór, cztery słowa depeszy uderzą go jak grom. Poczucie się w okamgnieniu przejrany na wylot - w tym, czego sam nie powążył się sformułować do końca, a zarazem winny: nie ANANI 2 I 3, gdzie mógł wtedy ujrzeć o „Aresie” i o tym, co go czeka; gdyby nawet próbował się przed tym bronić, telegram nie da mu spokoju. Nie zdoła siedzieć z założonymi rękami w biernym oczekiwaniu; telegram znajdzie mu za skórę, dobierze się do sumienia, a wtedy - co? Pirx znał go dostatecznie; by wiedzieć, że stary nie zgłosił się do władz, nie złoży zeznań, tak samo jak nie pocznie myśleć o najwłaściwszej obronie i sposobach uniknięcia odpowiedzialności. Jeżeli raz uzna, że ponosi odpowiedzialność, bez jednego słowa w milczeniu, uczyni to, co uzna za właściwe. . . , A wiadomo nie można tak postąpić. Jeszcze raz

przeszedł wszystkie warianty - gotów i do samego diabła, da rozmowy z van der- Voytem, gdyby cokolwiek rokowała. . . Ale nikt me mógł pomóc. Nikt. Wszystko wygl dałoby inaczej, gdyby , nie „Ares i te sze dni czasu. Nakłonienie psychiatry do zezna : obserwacja sposobów, jakimi Cornelius testował komputery; sprawdzanie „Aresowego” komputera - wszystko to wymagało tygodni. A wi c? Przygotowa starego jak wiadomo ci zapowiadaj c , e. . . Ale wówczas wszystko spali na panewce. Tamten znajdzie w obolałej psychice wybiegi, kontrargumenty, w ko cu najuczciwszy człowiek wiata te ma instynkt samozachowawczy. Pocznie si broni albo raczej b dzie po swojemu milczał wzgardliwie, gdy tymczasem „Ares. .

Doznawał uczucia zapadania si , wszystko odtr cało go, jak w tym innym opowiadaniu Poego, Studnia i wahadło dzie martwe otoczenie milimetr po milimetrze zaciska bezbronnego, popychaj c go ku otchłani. Jaka mo e by wi ksza bezbronno od bezbronno ci cierpienia, które trafiło kogo i za to wła nie ma si go podst pnie ugodzi ? Jaka mo e by wi ksza podło ?

Zaniecha ? Milcze ? Pewno, e to było najłatwiejsze ! Nikt nigdy nawet si nie domy li, e miał w r ku ws tkie nici.

214 STANISŁAW LEM Po kolejnej katastrofie sami wpadn na trop. Raz uruchomione ledztwo dotrze wreszcie do Corneliusa i. . .

Ale je li tak wła nie jest, je li nie osłoni starego dowódcy nawet zachowuj c milczenie. . . nie ma do tego prawa. Nic ju wi cej nie pomy lał, bo zacz ł działa , jakby wyzbyty wszelkich w tpliwo ci.

Na parterze było pusto. W kabinie laserowej ł czno ci siedział jeden tylko dy urny technik: Haroun. Wysłał tak depesz : Ziemia, USA, Boston, „Syntronics Corporation”, Warren Cornelius: THOU A R T T H E M A N. I podpisał si z dodatkiem : c z ł o n e k komisji do zbadania przyczyn katastrof „Ar i.e 1 a”. Miejsce wysłania depeszy: Mars, Agathodaemon.

To było wszystko. Wrócił do siebie i zamkn ł si . Kto pukał potem do drzwi, słycha było głosy, ale nie dał znaku ycia.

Musiał by sam, bo przyszły tortury my li, jakich si spodziewał. Na to nie było ju adnej rady.

Czytał pó n noc Schiaparellego, eby nie wyobra a sobie po sto razy w ró nych wariantach, jak Cornelius, unosz c szpakowate, nastroszone brwi, bierze do r ki depesz z nagłówkiem Marsa, jak rozkłada szezszczy papier i odsuwa od dalekowzrocznych oczu. Ze Schiaparellego nie rozumiał ani słowa; a kiedy odwracał stronic , wybuchało w nim bezmierne zdumienie przemieszane z dziecinnym prawie alem; jak to, wi c to ja? ja - potraffem co takiego zrobi ?

Nie miał przecie w tpliwo i: Cornelius tkwił w potrzasku jak mysz; brakło mu luzu, szpary dla najmniejszego uniku, nie dopuszczała go sytuacja samym swoim kształtem nadanym jej przez zgrupowanie zdarze ; wi c swoim spiczastym, wyra nym pismem rzucił na papier kilka zda wyja nienia, e działał w dobrej wierze, lecz bierze na siebie cał win , podpisał si i o trzeciej trzydzie ci - w cztery godziny po otrzymaniu depeszy - strzelił sobie w usta. W tym, co ANANKE 215 napisał, nie było ani jednego słowa o chorobie, adnej próby usprawiedliwiania si , nic.

Jak gdyby zaakceptował czyn Pirxa tylko w tym, co si wi zało z ocaleniem „Aresa” i postanowił wzi w tym ocaleniu udział - ale w niczym nadto. Jak gdyby wyraził mu jednocze nie rzeczow aprobat i pełn wzgard za tak zadany cios.

By mo e zreszt Pirx mylił si . Jakkolwiek tkwi w tym pewna niewspółmierno , szczególnie dolegał mu we własnym uczynku jego koturnowo-teatralny styl, rodem z Poego. Podszedł Corneliusa jego umiłowanym pisarzem i w jego stylu, który mu brzmiał fałszywie, od którego si z ymał, bo nie upatrywał grozy ycia w zwłokach powracaj cych z za grobu, co wskazuj okrwawionym palcem morderc . Zgroza ta była, zgodnie z jego do wiadzeniem, raczej szydercza ni malownicza. Towarzyszyła refleksji nad zmian roli, jak Mars odgrywał w dwu nast puj cych po sobie epokach, kiedy z nieosi galnej, czerwonej plamki na nocnym niebie, objawiaj cej na wpół czytelne znaki obcego rozumu, stał si terenem zwyczajnego ycia, a wi c mozolnych zmaga , politycznych konszachtów, intryg, wiatem uci liwej wichury, zam tu i strzaskanych rakiet, miejscem, z którego mo na było nie tylko dostrzec poetycznie bł kitn iskr Ziemi, ale i ugodzi na niej miertelnie człowieka. Niepokalany, bo na wpół domy lny Mars wczesnej areografii szczeł, pozostawiaj c po sobie tylko owe brzmi ce jak formuły zakl cia alchemików - nazwy grecko-łaci skie, których materialne podło e deptało si ci kimi butami. Zaszła nieodwołalnie za horyzont epoka wysokich sporów teoretycznych i gin c ukazała dopiero swoje prawdziwe oblicze - marzenia ywi cego si własn niespełnialno ci . Pozostał tylko Mars mudnych prac, ekonomicznej rachuby i takich szarobrudnych witów, jak ten, w którym poszedł na obrady komisji z dowodem w r ku.